



Lucy Gordon



Światła Paryża

PROLOG

Światło poranka łagodnie rozjaśniało pokój, delikatnym blaskiem kładło się na porażonej we śnie młodej kobiecie, której długie blond włosy rozsypane były po poduszce. Gdy wpatrzony w nią kochanek musnął ustami jej usta, poruszyła się przebudzona i wyszeptała:

- Marcel...

- Cii... Chciałem ci tylko powiedzieć...

- Mmm?

- Wiele rzeczy. Trudno to zrobić, gdy nie śpisz. Kiedy na ciebie patrzę, zapiera mi dech i brakuje słów, żeby wyrazić, jaka jesteś piękna - Odchylił kołdrę, odsłaniając cudowne kształty ukochanej. - Tylu ludzi zachwyca się twoją urodą, fotograficy i cała reszta. Chętnie by mi cię odebrali, ale nigdy się na to nie zgodzisz, moja najdroższa, Cassie. - Gdy nie otwierając oczu, uśmiechnęła się sennie, serce do reszty w nim stopniało. - Cassie, słyszysz mnie? Muszę ci coś powiedzieć. Może będziesz się gniewać, że to ukrywałem, ale wybaczysz mi. Wtedy poproszę cię... nie, ubłagam, żebyś została moją żoną. Już teraz jest wspaniale, lecz chcę więcej. Niech wszyscy się dowiedzą, że jesteśmy razem. Chciałbym wspiać się na najwyższą wieżę i krzyknąć na cały głos, że jesteś moja. Tylko moja! Pobierzemy się jak najszybciej, dobrze, najdroższa? Niech cały świat wie, że jesteś moja, tylko moja, tak jak ja jestem tylko twój. - Głos mu się załamał z wielkiego wzruszenia. - Ta chwila nadejdzie, i to już niedługo, lecz najpierw muszę wyznać, co przed tobą ukryłem. Chodzi o to, że... Nie, niech to zostanie w tajemnicy jeszcze przez jakiś czas. Jestem tchórzem, niestety. Tak bardzo się boję, że będziesz zła, gdy wyjdzie na jaw, że nie byłem z tobą do końca szczery, że myślałaś... Och, nieważne! Wyjawię ci wszystko, gdy przyjdzie pora. Teraz powiem tylko, że bardzo cię kocham. Jestem twój i nic nigdy nie zdoła nas rozdzielić. Moja kochana Cassie! Gdybyś wiedziała, jak marzę o tym, żebyś została moją żoną. Modlę się, żeby nasz ślub odbył się jak najszybciej. - W niemej modlitwie przymknął na moment oczy. - Teraz śpij. Na wszystko przyjdzie właściwy czas. Przed nami całe życie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Śluby mają to do siebie, że człowiek zaczyna zachowywać się jak idiota.

Marcel Falcon, słysząc tę cyniczną uwagę, uśmiechnął się z aprobatą.

- Miło cię widzieć, Jeremy. - Z biznesmenem, który przysiadł się do niego, był w zażyłych stosunkach. - Zamówię coś do picia. Kelner! - Siedzieli w barze hotelu Gloriana, jednego z najlepszych i najbardziej luksusowych w Londynie. Marcel zamówił drinki, po czym powiedział: - Masz rację. Z radością bym sobie darował ten ślub, ale mój brat Darius jest byłym mężem panny młodej.

- Zaprosiła go na ślub? - zdumiał się Jeremy. - Owszem, zdarzają się niebanalne, a nawet wyrafinowane okoliczności, ale to już przegięcie.

- Chodziło o dzieci. Niech się przekonają, że rodzice pozostają w dobrych stosunkach.

- Domyślam się, że twój ojciec maczał w tym palce.

- A kiedy tego nie robi? - cierpko odparł Marcel. - Wymusił też zmianę daty ślubu z uwagi na ograniczone czasowo prawo pobytu w Anglii. Gdyby je złamał, fiskus by go dopadł. - Magnat finansowy Amos Falcon od dawna mieszkał w Monako, by nie płacić podatków. W Anglii w ciągu roku mógł przebywać maksymalnie trzy miesiące. - To jego jedyne wnuki, więc chce mieć z nimi dobry kontakt.

- Ma pięciu synów, a tylko jeden zadbał o ciągłość rodu.

- Wciąż nam to powtarza i namawia do ożenku. Najlepiej z Freya.

- Jaka znowu Freya?

- To jego pasierbica. Zastępuje mu córkę, o której zawsze marzył, a rodzili mu się sami synowie. Ubzdurał sobie, że wyda ją za któregoś z nas, dzięki czemu Freya wejdzie do rodziny.

- Nie macie nic do powiedzenia?

- Po co pytasz? Nie znasz mojego ojca? Wielki Amos żadnemu z nas nie przyznał prawa do posiadania własnego zdania - z gryzącą ironią odparł Marcel. - Jeśli nie Freya, to jakaś inna, byle ród Falconów się rozrastał. A z całej naszej piątki tylko Darius się spisał. Jacksona bardziej niż ludzie interesują dzikie zwierzęta. Leonid rzadko kiedy

wyjeżdża z Rosji, prawie się z nim nie widujemy. Mógłby mieć z tuzin żon i nic byśmy o tym nie wiedzieli. Travis ani myśli się żenić, bo straciłby wielbicielki. - Travis, młodszy przyrodni brat Marcela, urodził się i wychował w Stanach. Był znanym aktorem telewizyjnym, cieszącym się uznaniem i sympatią ogromnej rzeszy fanek.

- Jasne. Dla małżeństwa narażać się na takie ryzyko? - zakpił Jeremy. - W takim razie pozostaje nam tylko kochliwy Francuzik.

- Przestań! - obruszył się Marcel. - Wiesz, jak męczy człowieka takie zaszufładowanie?

- Jednak korzystasz z tego. Paryskie życie, dziewczyn na pęczki... - Urwał, widząc minę Marcela. - Co tak cię drażni? Skoro tylko gwizdniesz i masz to wszystko, o czym inni mogą tylko zamarzyć, powinieneś używać życia. - W tym momencie kelner przyniósł drinki, więc Jeremy wzniósł toast: - Za kawalerskie życie. Jakim cudem do dziś dotrwałeś niezaobrączkowany?

- Dzięki trzeźwej ocenie. Gdy ją poznasz, widzisz w kobiecie boginię, lecz jeśli zachowałeś zdrowy rozsądek, to przyjrzyj się jej chłodnym okiem i zaraz się okaże, że ta bogini kieruje się ukrytym i wcale nie boskim celem. Tak jest z każdą.

- Z każdą? A może chodzi o tę jedną? Aż tak cię rozczarowała?

- Bez znaczenia - odparł chłodno. - Już dla mnie nie istnieje. - Mógłby dodać, że taka, jaką kochał, nigdy nie istniała, była wytworem wyobraźni.

- Otrząsnąłeś się z tego i zacząłeś właściwie traktować życie - podsumował Jeremy.

- Po prostu bierzesz tę, na którą masz ochotę, ot, cała filozofia.

- Nie gadaj bzdur.

- Jakich bzdur? Zobacz tylko, co się dzieje przy barze. Wciąż się na ciebie gapią.

Trzy młode kobiety zamówiły drinki, rozejrzały się po sali... i wgapiły się w Marcela. Było oczywiste, że gdyby tylko kiwnął na którąś, już by była jego.

Jeremy doskonale je rozumiał. Marcel, wysoki i dobrze zbudowany brunet po trzydziestce, był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Na jego widok kobietom przyśpieszało serce, a w mężczyznach budziła się żądza mordy.

Jednak miał coś więcej, a mianowicie nieodparty czar, którym przyciągał do siebie ludzi. Takie było pierwsze wcielenie Marcela. Bo gdy uznał za konieczne, nie tylko

przyciągał tych ludzi, ale i obezwładniał swoim urokiem, by łatwiej ich zniszczyć. Wielu nie mogło uwierzyć, że Marcel potrafi być bezwzględny w dążeniu do bogactwa i sukcesu, póki z okropnym skutkiem nie doświadczyli tego na sobie.

Kobiety przy barze nie mają o tym bladego pojęcia, pomyślał Jeremy. Jeszcze chwila, a przynajmniej jedna z nich wymyśli jakiś pretekst, by nawiązać z nim znajomość. A może wszystkie trzy.

- Hej, czy to nie Darius? - spytał Jeremy. Z baru widzieli hotelowe lobby. Darius Falcon, przyrodni brat Marcela, stał przy windzie zatopiony w rozmowie z młodą kobietą. - Kto to?

- Nie wiem - odparł Marcel. - Przypuszczam, że mieszka na wyspie, która od niedawna należy do Dariusza. Mówił, że przyjedzie z kimś, ale nic ponadto. - Gdy Darius i jego towarzyszka weszli do windy, dopił drinka. - Pójdę się przywitać. Zobaczymy się później.

Przed spotkaniem z bratem powinien zajrzeć do ojca, ale najpierw chciał się rozejrzeć. Okiem profesjonalisty dokładnie zlustrował kolejne pomieszczenia. Piękny hotel, jeden z najlepszych, jednak nie ma startu do La Couronne, jego hotelu w Paryżu.

Korona. Celowo tak nazwał swój hotel. Niech wszyscy wiedzą, że nic się z nim nie równa. La Couronne to jego radość i duma. Osobiście doglądał każdego szczegółu wykończenia i wyposażenia. Hotel oferował luksusowe warunki i usługi na najwyższym poziomie. Gościł znakomitych biznesmenów, polityków, gwiazdy filmowe. Był synonimem doskonałości i dyskretnej elegancji. A nade wszystko wielkich pieniędzy.

Pieniądze. Jego życie kręciło się wokół pieniędzy. Pierwsze kredyty żyrował ojciec, wspomógł też pożyczką. Od tego się zaczęło. Gdy biznes ruszył, Marcel spłacił ojcu wszystko co do grosza.

Sala balowa już była przygotowana do jutrzejszej uroczystości. Scenografia kojarzyła się z kościołem, choć to ślub cywilny. Wszystko tonęło w kwiatkach.

„Pobierzemy się jak najszybciej, dobrze, najdroższa? Niech cały świat wie, że jesteś moja, tylko moja, tak jak ja jestem tylko twój”.

Zesztywniał, poruszony słowami, które nagle powróciły z przeszłości. Cofnął się mimowolnie, jakby szukając przed nimi ucieczki.

Jednak te słowa rozbrzmiewały w jego głowie, nie mógł przed nimi uciec.

„Gdybyś wiedziała, jak marzę o tym, żebyś została moją żoną”.

Naprawdę to powiedział? Naprawdę był takim beznadziejnym głupcem? Młodym i naiwnym, ślepo wierzącym w to, w co chciał wierzyć o ukochanej, póki wiara nie rozwiązała się w nicość, zostawiając jedynie rozpacz i cierpienie.

To stare dzieje. Teraz jest innym człowiekiem. Gdyby tylko wspomnienia przestały go prześladować.

Obszedł salę i niemal wpadł na ojca. Widzieli się kilka tygodni wcześniej, gdy Amos dostał zawału i wyładował w szpitalu, a wszyscy synowie na gwałt pośpieszyli do Monako. Z ulgą spostrzegł, że ojciec wygląda lepiej. Choroba wycisnęła na jego twarzy piętno, jednak od Amosa biły energia i siła.

- Cieszę się, że doszedłeś do siebie. - Serdecznie uściskał ojca.

- Nic mi nie dolega - oświadczył stanowczo. - Niepotrzebnie namieszali, choć cieszę się, że przez chwilę byliśmy wszyscy razem. Idź przywitać się z Janine i Freya. Nie mogą się ciebie doczekać. - Mówiąc oględnie, Amos miał barwne życie. Matka Marcela była jego drugą żoną, Janine trzecią. Freya była jej córką z poprzedniego małżeństwa. Amos, ojciec pięciu synów, chętnie przyjął ją do rodziny, zwłaszcza że klarował mu się konkretny plan. - Przejdźmy się, popatrzmy, jak tu jest. Może to podsunie nam jakieś pomysły. Gloriana to niezły hotel, ale ty zrobiłbyś z tego coś więcej.

- Myślałem o czymś nowym - powiedział Marcel. - Zmiana scenerii to zawsze ciekawe wyzwanie.

- W takim razie rozejrzyj się tutaj. Londyn jest odpowiednim miejscem. Ceny nieruchomości zanurkowały i trafiają się prawdziwe okazje. Mam kontakty w bankach, mogę ułatwić kredyty, sam też w razie potrzeby coś ci pożyczę.

- Dzięki. Będę pamiętał.

Gdy obeszli hotel, robiąc notatki, Amos skomentował:

- Jedyne, czym biją La Couronne, to sala weselna. Może powinieneś o tym pomyśleć? Z tego są pieniądze.

- Wątpię, czy to by podniosło moje zyski - chłodno stwierdził Marcel.

Nie miał serca do ślubów, jednak o powodach wołał nie rozprawiać.

Wjechali na ósmą kondygnację. Z baru roztaczał się wspaniały widok na miasto. Usiedli przy oknie. Amos wskazał na widniejący w dali wysoki budynek.

- Widzisz ten biurowiec? To siedziba Daneworth Estates.

- Obiło mi się o uszy. Podobno cienko przędą.

- Właśnie. Muszą pozbyć się części majątku - z naciskiem powiedział Amos.

- Masz na myśli coś konkretnego?

- Hotel Alton. Kupili go, chcieli rozbudować, ale pieniądze się skończyły, więc nadarza się idealna okazja, żeby go przejąć za śmieszłą cenę. - Amos wymienił kwotę.

- Tylko tyle?! To półdarmo...

- Jeśli ktoś ich przycisnie i będą musieli pośpieszyć się ze sprzedażą.

- A nie znasz kogoś, kto mógłby ich tak docisnąć? - spytał kpiąco Marcel.

- Może. Jak długo będziesz w Anglii?

- Wystarczająco długo, żeby się rozejrzeć.

- Doskonale... Dobrze wiedzieć, że mam syna, z którego mogę być dumny.

- Wciąż jesteś zły na Dariusza, że zgodził się na warunki byłej żony? Myślałem, że lubisz Mary. Przyjechałeś na jej ślub.

- Nie będę się kłócił z matką moich jedynych wnuków, jednak trzeba mieć trochę oleju w głowie, a Dariusowi go brakuje. Wiesz coś o kobiecie, z którą przyjechał?

- Widziałem ich, jak wsiadali do windy. Atrakcyjna. Zaraz do nich idę.

- Przyjrzyj się jej uważnie. Zobacz, czy Darius wpada w jej sidła.

- Bo wtedy nici z twojego tajnego planu - ironicznie podsumował Marcel.

- Wcale nie ukrywam, że chcę, by Freya została moją synową. Jeśli Darius nie stanie na wysokości zadania...

- Wyhamuj, tato - wpadł mu w słowo Marcel.

- Dlaczego? Już pora, żebyś się ustatkował.

- Nie ja jeden. Są jeszcze inni.

- Pięciu synów! - ze złością rzucił Amos. - I tylko jeden ma rodzinę.

Jakbyś ty świecił nam dobrym przykładem, drwiąco pomyślał Marcel. Ale cóż, miał prawo do takiej reakcji. Tylko dwóch synów przyszło na świat w czasie trwania

małżeństwa, a z jego matką ożenił się dopiero po kilku latach. Travis i Leonid byli nieślubnymi dziećmi. Jednak nie chciał poruszać tego tematu.

Wzruszył ramionami i wstał.

- Powiedz Janine i Frei, że zaraz przyjdę.

Podchodząc do pokoju brata, uśmiechnął się szeroko.

Nawet z nim nie był do końca szczery. Nauczył się przywdziewać maskę, to było jego drugą naturą.

Drzwi były otwarte. Darius stał przed wystrzałową kobietą, trzymając ją za ramiona i wpatrując się w nią z podziwem.

- Nie przeszkadzam?

- Marcel!

Bracia przywitali się serdecznie, po czym Darius przedstawił towarzyszącą mu kobietę.

- Trzymasz tę damę w ukryciu. - Marcel patrzył na nią z uznaniem. - Wcale się nie dziwię. Na twoim miejscu robiłbym to samo.

Ojciec przeżyje szok, pomyślał. Harriet naprawdę może zagrozić jego planom.

Pogawędził z nią przez kilka minut, flirtując, lecz nie przekraczając granic.

- Darius już cię ostrzegł, że jesteśmy bandą dziwaków?

- Na pewno nie większych niż ja - zareplikowała.

- Ciekawe. Obiecuj, że dziś ze mną zatańczysz.

- Nie obieca ci tego - stanowczo powiedział Darius.

Marcel zachichotał i szepnął Harriet do ucha:

- Spotkamy się później.

Cmoknął ją w policzek i poszedł do apartamentu ojca. Serdecznie przywitał się z macochą, lecz ponad jej ramieniem jego wzrok mimowolnie poszybował w dal, ku wysokiemu budynkowi, który pokazał mu Amos.

Daneworth Estates. Idealna okazja. Ciekawe.

W gabinecie na dziesiątej kondygnacji biurowca prezes Smith, szef Daneworth Estates, przejrzał kilka dokumentów i jęknął cicho. Po chwili zawołał:

- Pani Henshaw, mogę prosić resztę materiałów? - Odwrócił się do mężczyzny w średnim wieku. - Ma wszystkie dane. Spokojnie, Jane Henshaw jest perfekcjonistką. - Popatrzył na wchodzącą do gabinetu młodą kobietę.

- Sporządziłam notatki. Powinno być wszystko.

- W to nie wątpię.

Mężczyzna z niechęcią popatrzył na panią Henshaw. Nie znosił takich kobiet. Miała tyle atutów, lecz nawet nie próbowała ich wykorzystać. Wysoka, szczupła, ładne włosy i regularne rysy. Ale te ściśle upięte z tyłu włosy, wręcz przylegające do czaszki, surowy ubiór i wielkie okulary w stalowej oprawce zakrywające twarz!

- Już prawie szósta - powiedziała.

- Tak, może pani iść.

Lekko kiwnęła głową i wyszła z gabinetu. Mężczyzna wzdrygnął się, po czym wyznał:

- Aż się jej boję.

- Ja czasami też - odparł prezes. - Jednak na nikim nie mógłbym tak bardzo polegać jak na niej. Jest niesamowita.

- Zawsze mnie dziwi, że tak się do niej zwracasz. Dlaczego nie po imieniu? Nie wystarczy Jane?

- Bo tak sobie życzy. Nie lubi poufałości.

- Jesteś jej szefem.

- Czasami sam się zastanawiam, kto tu rządzi. Nie wiem, czy bardziej doceniam jej kompetencje, czy bardziej chciałbym się jej pozbyć.

- Kojarzy mi się z robotem.

- Coś w tym jest. Nigdy byś nie podejrzewał, że kiedyś była modelką.

- Nie gadaj!

- Nazywała się Cassie i przez kilka lat była na samym szczycie. Potem to się skończyło. Nie wiem dlaczego.

- Nadal mogłaby świetnie wyglądać, gdyby się postarała. Czemu tak zaczesuje włosy, że wygląda jak strażniczka więzienna? Kiedy ostatni raz widziałeś kobietę, która ma zero makijażu?

- Chyba nigdy... No dobrze, bierzmy się do roboty. Jak możemy uniknąć bankructwa?

Zajęci swoimi problemami, zapomnieli o pani Henshaw, która stała po drugiej stronie drzwi. Słyszała ich zjadliwe uwagi, lecz tylko wzruszyła ramionami.

- O rany! - wykrztusiła młoda pracownica siedząca przy biurku. - Jak pani to znosi?

- Bertha miała dziewiętnaście lat, była naiwna i przyjaźnie nastawiona do świata.

- Ignoruję to - z przekonaniem oświadczyła pani Henshaw.

- Co to za Cassie, o której mówili? Ta modelka.

- Nie wiem. Nic mnie z nią nie łączy.

- Ale mówili, że to była pani.

- Mylą się. - Spojrzała na Berthę. - Cassie nigdy nie istniała - dodała głosem wypranym z emocji. - Chodźmy do domu. - W ostatnich słowach pobrzmiwała desperacja. Chciała wyjść i w spokoju pomyśleć. Firma była w poważnych opałach, posada wisiała na włosku. Wkrótce stąd odejdzie.

Tylko dokąd? Patrząc na swoje przyszłe życie, widziała pustkę. I tak od dziesięciu lat.

Dawno skończyły się czasy, gdy było ją stać na samochód, więc do domu jak zwykle wróciła autobusem. Miała niewielkie mieszkanie na piętrze. Skromnie urządzone, jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Jak cela mniszki.

Wmawiała sobie, że to wieczór jak każdy inny. Cassie wychynęła z przeszłości i ustabilizowany świat niebezpiecznie się zachwiał, jednak szybko odepchnęła od siebie wspomnienia. Cassie żyła w innej rzeczywistości, w innym wszechświecie. Cassie miała złamane serce. Pani Henshaw w ogóle go nie ma.

Do nocy ślęczała nad dokumentami, odkrywając tajemnice niedostępne dla reszty. Niedługo będzie musiała podjąć decyzję, lecz była zbyt zmęczona, by o tym myśleć.

Usnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, jednak sen nie przyniósł ukojenia. Znow nawiedziły ją obrazy, których nie chciała widzieć, wspomnienia, przed którymi uciekała. Młodziutka i olśniewająca Cassie naga w ramionach uwielbiającego ją pięknego mężczyzny, zakochana w nim do szaleństwa. Jego oczy patrzące na nią z miłością, a potem przepełnione nienawiścią.

- Kochałem cię. Ufałem ci. Teraz nie mogę na ciebie patrzeć!

We śnie zapłakana wyciągała do niego rękę.

- Marcel, nic nie rozumiesz... proszę cię, proszę...

- Zejdź mi z oczu! Dziwka!

Przebudziła się z krzykiem:

- Nie! To kłamstwo! Nie! Nie! Nie!

Usiadła, wlepiła wzrok w ciemność i oddychała ciężko.

- Zostaw mnie - prosiła. - Zostaw mnie.

Zwlekła się z łóżka i poszła do łazienki. Z lustra patrzyła na nią znużona, zmarnowana kobieta. Nie wyglądała jak strażniczka więzienna. Na jej twarzy malowało się tyle emocji. Rozpuszczone włosy opadały kaskadą na ramiona, okrutnie przywołując obraz Cassie, ślicznej dziewczyny, która żyła dawno temu, a potem rozwiała się we mgle. To podobieństwo było dla pani Henshaw nie do zniesienia.

Łzy popłynęły po policzkach.

- Nie - szlochała. - Nie!

Jednak było za późno. Całe lata za późno.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mam tylko nadzieję, że nie będę tego żałował - z ciężkim westchnieniem rzekł prezes Smith. - Alton jest wart dwa razy tyle, ale to najlepsza oferta, jaką dostaliśmy.

Pani Henshaw ze zmarszczonym czołem przebiegła wzrokiem dokument.

- Chyba uda się panu podbić cenę?

- Próbowałem, lecz nic z tego. Daje tyle albo rezygnuje. Zgodziłem się. Musimy jak najszybciej sprzedać, co się da, nim pójdziemy na dno.

- Mam rozumieć, że powinnam zacząć szukać nowej pracy?

- Niestety tak, ale chyba coś się kroi dla pani. Powiedziałem mu, że otrzyma od pani potrzebne informacje i omówicie szczegóły. Marcel potrzebuje kogoś, kto ma doskonałą orientację w tutejszym rynku, więc świetnie się pani nadaje na jego asystentkę. Gdy panią pozna, będzie pod wrażeniem. Dlaczego pani tak na mnie patrzy? Coś się stało?

- Nie, nic... Jak on się nazywa?

- Marcel Falcon. Jeden z synów Amosa Falcona.

Odetchnęła. Tamten Marcel miał na nazwisko Degrande. Minęło tyle lat, nie powinna tak reagować na samo imię.

- Niech pani to dobrze rozegra, wykaże się kompetencjami.

- Kiedy mam się z nim spotkać?

- Zaraz. Zatrzymał się w hotelu Gloriana. Oczekuje pani za pół godziny.

- Za pół godziny? Nie zdążę wyszukać informacji o Marcelu Falconie...

- Jakoś sobie pani poradzi. To jego oferta. - Podał papiery. - Zwykle nie działamy na łapu-capu, ale wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie i im szybciej dostaniemy pieniądze, tym lepiej.

W taksówce przejrzała dokumenty, starając się zapamiętać jak najwięcej. Żałowała, że nie zdążyła poszperać w internecie. Amos Falcon był dobrze znany w świecie finansów, lecz o jego synu nic nie wiedziała.

Weszła do hotelu, podeszła do recepcji.

- Nazywam się Jane Henshaw. Proszę powiadomić pana Falcona, że przyszedłam.

- Pan Falcon jest tam.

Popatrzyła w stronę drzwi wiodących do baru. Przy stoliku siedział mężczyzna. Lekko odwrócił głowę.

Ujrzawszy jego twarz, szepnęła:

- Nie... nie... nie...

Świat zawirował, miała wrażenie, że grunt usuwa się jej spod nóg.

Marcel.

Przybyło mu lat, zmężniał. Kiedyś ją kochał, jego odejście niemal doprowadziło ją do katastrofy. Jakim zrzędzeniem losu ich drogi znów się skrzyżowały?

Cofnęła się. Nie może jej tu zobaczyć. Wyszła do hotelowego ogrodu i przysiadła przy kawiarnianym stoliku. Drżała na całym ciele. Musi posiedzieć w spokoju, ochłonąć.

Oby tylko jej nie zobaczył.

Oby mogła cofnąć czas, tak wszystko zmienić, by nie spotkali się przed laty.

Byli młodzi i naiwni, przekonani, że zawojują świat. Wystarczy talent, entuzjazm i uroda.

Jane Agnes Cassandra Baines od zawsze wiedziała, że zostanie modelką.

- Jesteś piękna, wykorzystaj to - namawiała ją starsza o osiem lat siostra. - Musisz tylko wymyślić lepsze imię. Jane brzmi zbyt pospolicie.

Wczesnie straciły rodziców, siostra zastępowała jej matkę. Teraz role się odwróciły i to jej trzeba było pomagać.

Zamierzała pozostać przy trzecim imieniu, lecz agent oświadczył:

- Nie Cassandra, lecz Cassie. Idealnie brzmi. Będiesz gwiazdą.

Kariera potoczyła się błyskawicznie. Jej zdjęcia były wszędzie, wielbiciele również. Majętni mężczyźni obsypywali ją drogimi prezentami, lecz dla niej był ważny tylko Marcel Degrande, ubogi chłopak wynajmujący skromne mieszkanie.

Marcel pracował w sklepie spożywczym, zarabiał grosze. Poznali się, gdy przywiózł jej owoce. Wystarczyło jedno spojrzenie na roześmianą twarz i przekorne oczy. Odrzuciła dwóch starających się o jej względy milionerów. Istniał dla niej tylko Marcel.

Z nim było tak samo. Oddał jej całą duszę i serce.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - mówił. - Mogłaś mieć któregoś z nich z całą fortuną, a jednak... Widzisz, jak mieszkam. Nie stać mnie, żeby zabrać cię do eleganckiej restauracji ani na kosztowne prezenty.

- Dajesz to, czego żaden mi nie da. - Położyła mu rękę na sercu. - Co tam pieniądze! Są bez sensu.

- Tak, masz rację - potwierdził żarliwie. - Komu są potrzebne?

- Nikomu. Ale ja czegoś potrzebuję i zaczynam się niecierpliwić.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Nakrył ustami jej usta.

Było im razem cudownie, miłość kwitła. Instynktownie wiedziała, że to coś wyjątkowego, coś, co drugi raz się w życiu nie zdarzy. Tak było przez kilka miesięcy, aż nagle boleśnie się skończyło.

Wpadła w oko Jake'owi, mężczyźnie bogatemu i wpływowemu, powiązanemu ze światem przestępczym. Zawsze miał, co chciał. Kiedy odrzuciła jego awanse, odszedł bez słowa. Cieszyła się, że tak skutecznie go zniechęciła.

Marcel pojechał za miasto do klienta z dostawą. Kiedy zadzwonił, nie wspomniała mu o Jake'u. Zamierzała opowiedzieć mu o sprawie, gdy wróci do domu.

Nie wrócił, nie dał znaku życia. Telefon miał wyłączony. Wieczorem ktoś zastukał do drzwi. Gdy otworzyła, na progu ujrzała Jake'a.

Podał jej zdjęcie. Marcel leżał na szpitalnym łóżku, był zakrwawiony i nieprzytomny.

- Miał wypadek. - Jake uśmiechał się znacząco. - Potrąciła go furgonetka.

- O Boże, muszę do niego iść. W którym jest szpitalu?

- Po co ci to wiedzieć? Więcej go nie zobaczysz. Nie rozumiesz? Mogłem go załatwić na amen i zrobię to, jeśli okażesz się mało pojętna. Nie próbuj szukać go po szpitalach, bo będę o tym wiedział. I on za to zapłaci. - Wskazał zdjęcie. - Lekarka, która tam pracuje, jest mi winna przysługę i na pewno mnie nie zawiedzie. Chyba nie chcesz, żeby znów spotkał go... nieszczęśliwy wypadek?

Zrozpaczona i bezradna, znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Marcel był ciężko ranny, nigdy go nie zobaczy. Uzna, że go zawiodła. Ta świadomość ją dobijała.

Odważyła się napisać do niego list, w którym wszystko wyjaśniła. Zaklinała się, że go kocha, i błagała, by jej nie znienawidził. Wsunęła kopertę pod drzwi jego mieszkania. Znajdzie ją, gdy wróci ze szpitala.

Mijały dni, a Marcel się nie odzywał, jego telefon wciąż był wyłączony. Zdesperowana zadzwoniła do właścicielki domu, w którym mieszkał. Marcel pokazał się na chwilę, wziął pocztę i wyjechał.

Była w rozpacz. Nie uwierzył w jej tłumaczenia, a jeśli nawet, to niczego nie zmieniało. Wymazał ją z pamięci, znienawidził, nigdy jej nie wybaczy.

Pamiętała jego słowa. Mówił, że chce mieć wszystko albo nic. I że ona będzie dla niego wszystkim... zawsze.

Próbowała pozbierać myśli. Ubogi chłopak okazał się synem magnata finansowego. Może wtedy o tym nie wiedział. Może był nieślubnym dzieckiem i dopiero później prawda wyszła na jaw? Musi w to wierzyć, bo inaczej okaże się, że ich związek opierał się na kłamstwie, a miłość i szczerłość były jedynie iluzją.

Wzdrygnęła się.

Musi stąd zniknąć, nim ją spostrzeże. Nie czuła się na siłach, by stanąć z nim twarzą w twarz. Już nie jest piękną dziewczyną. Nie chce ujrzeć tego w jego oczach. I triumfu na widok jej upadku.

Ruszyła do hotelu, lecz w tej samej chwili otworzyły się szklane drzwi.

- Tam jest ta pani - mówiła recepcjonistka. - Pani Henshaw, oto pan Falcon.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać.

- Nie... to moja wina - wydukała. - Nie powinnam była wychodzić do ogrodu...

- Ależ skąd. W środku jest duszno, prawda? Posiedźmy na świeżym powietrzu.

Gdy wskazał ręką, ruszyła przodem. Była zbyt oszołomiona, by zrobić coś więcej. W ogóle nie zareagował. Nie poznał jej.

Może przez słabe światło. Zbliżał się wieczór, na zewnątrz była już szarówka. Tym lepiej. Zyska na czasie.

To jakaś pocięcha, jednak było jej przykro. Tak ją kochał, a teraz nie rozpoznał.

- Czego się pani napije? Szampana?

- Poproszę tonik. Wolę zachować przytomny umysł.

- Ma pani rację. Ja wezmę to samo, z tego samego powodu. Kelner!

Ktoś, kto go nie zna, łatwo dałby się nabrać, pomyślała. Dawniej Marcel mógł bezkarnie raczyć się tanim winem, nie mąciło mu to w głowie, nie osłabiało też w inny sposób. Któregoś wieczoru, gdy wypił naprawdę sporo, zażartowała, by jej to udowodnił. Zrobił to ku obopólnej radości.

Tak wtedy było. Młodzieńcza miłość i beztroska radość, całkowite oddanie.

- Widzę, że dla pani biznes jest na pierwszym miejscu.

Jego słowa wyrwały ją z krainy wspomnień. Jak w dawnych czasach, mówił z leciutkim francuskim akcentem, co tak bardzo ją urzekało.

Ile od tamtej pory swoim akcentem urzekł innych kobiet?

- Smith wyrażał się o pani z najwyższym uznaniem i bardzo mi panią polecał - dodał Marcel. - Zapewniał, że jeśli chodzi o mój nabytek, nikt nie jest tak zorientowany jak pani.

- Mam nadzieję, że to się potwierdzi - odparła półgębkiem.

- Z pewnością, pani Henshaw - padła grzeczna, rutynowa odpowiedź.

- Zamierza pan przekształcić hotel na wzór La Couronne?

- Widzę, że się pani przygotowała. Owszem, mam takie plany. Chciałbym rozszerzyć zakres usług, na przykład dodać centrum konferencyjne.

- Nie wiem, czy starczy na to miejsca.

- Słuszna uwaga. Nie obejdzie się bez rozbudowy. Zależy mi na najlepszej firmie budowlanej.

Mówił o swoich planach, bardzo ambitnych planach, a ona w milczeniu robiła notatki. Nie patrzyła na niego. Nie podniosła głowy, gdy kelner przyniósł tonik.

Marcel naprawdę jej nie poznał. Nic o tym nie świadczyło, jakiś drobny gest, jakieś spojrzenie. A może się pomyliła? Może to nie jest jej Marcel? Jednak gdy zerknęła na niego ukradkiem, wyzbyła się tych wątpliwości. Kształt głowy, linia ust, głębia oczu... wszystko, jak pamiętała.

To jej Marcel.

Już nie.

I nie ten sam.

Tak jak ona. Cassie przeminęła, jej miejsce zajęła pani Henshaw.

Skupiła się na notatkach. Gdy Marcel napełniał jej szklanekę, uniosła wzrok i powiedziała służbowym tonem:

- Słyszałam, że właściciel sąsiedniej posesji zastanawia się nad sprzedażą.

- To przydatna informacja. Skontaktuję się z nim, tylko poproszę o dokładne dane.

- Gdy zapisała je na kartce, schował ją z innymi papierami i powiedział: - Doskonale. Smith z pewnością przekazał pani, że potrzebuję kogoś, kto zaangażuje się w ten projekt. Pani świetnie się do tego nadaje.

- To bardzo szybka decyzja. Może pan ją jeszcze rozważy?

- Nie ma potrzeby. Właściwe decyzje podejmuje się od razu.

Pokusa była ogromna. Gdyby zgodziła się dla niego pracować, mieliby codzienny kontakt. On nie wie, kim ona jest. Tym bardziej to ją ciągnęło, choć też budziło lęk.

Nie, nie może na to pójść. Wykluczone.

- To niemożliwe - powiedziała z ociąganiem.

- Dlaczego? Pani mąż się nie zgodzi? Pracowała pani dla Smitha.

- Jestem rozwiedziona.

- Czyli sama pani decyduje o swoim losie.

Omam się nie roześmiała. Kiedyś też tak myślała, ale życie dało jej bolesną nauzkę.

- Nikt nie decyduje o swoim losie. Tak się nam tylko wydaje. Rozsądni ludzie to wiedzą.

- Pani jest rozsądna, pani Henshaw? - Popatrzył na nią w skupieniu.

- Wcześniej czy później wszyscy nabieramy rozwagi, czyż nie?

- Niektórzy z nas.

- Z pewnością...

Wciąż przyglądał się jej uważnie, lecz jego oczy były pozbawione wyrazu. Jedyne, co w nich wypatrzyła, to skrywane znużenie i rozczarowanie.

- W nieruchomościach sytuacja błyskawicznie się zmienia, o czym pani doskonale wie. Nie spodziewam się, żeby Smith robił problemy, gdy usłyszy, że zdecydowałem się panią zatrudnić.

On zdecydował. Ani słowa, że i ona ma coś do powiedzenia.

- Muszę to jeszcze przemyśleć.

- Dam pani pensję dwa razy większą niż obecna.

- Mogę podać nieprawdziwą sumę.

- A ja mogę sprawdzić to u pani szefa. Czego nie zrobię, bo mam do pani zaufanie.

Niech się pani nie martwi, jestem wymagającym pracodawcą. Wycisnę z pani, ile się da.

- Ale...

- Nie przyjmuję odmowy. No dobrze, sprawa ustalona.

- Wcale nie. - Z trudem hamowała złość. - Proszę mi nie dyktować, co mam robić.

- Jako pani szef mam do tego prawo.

- Nie jest pan moim szefem.

- Niedługo będę.

Zawsze stawiał na swoim, lecz robił to z wdziękiem, ale teraz nie bawił się w subtelności. Może po tym, co przeżył, nie powinna mieć aż takich pretensji. Jednak nie może się poddać jego naciskom. Musi się wycofać.

- Panie Falcon, proszę przyjąć do wiadomości...

- I kto by to pomyślał?

W ich stronę szedł potężnie zbudowany mężczyzna. Uśmiechał się z satysfakcją.

- O nie! - jęknęła. - Tylko nie on.

- Zna go pani?

- To Keith Lanley, dziennikarz zajmujący się finansami, a jednocześnie goniący za sensacją. Wciąż węszy, komu powinie się noga i kto następny w kolejce do bankructwa.

- Coś takiego! - zawołał Lanley, podchodząc do ich stolika. - Czyli plotki się potwierdzają. Bardzo sprytnie. Odejść z Daneworth Estates akurat teraz. Poznasz mnie ze swoim znajomym? Oczywiście doskonale wiem, kto on zacz. Wszyscy robią się czujni, gdy pojawia się rodzina Falconów.

- Przyjechałem na ślub - chłodno odezwał się Marcel. - Podobnie jak reszta rodziny.

- Oczywiście, ślub to ważna sprawa, ale żaden Falcon nie przepuści okazji do zrobienia pieniędzy, prawda? Wiele zależy, jak to się przedstawi w mediach. Może we trójkę...

Miała dość.

- Do widzenia. - Ruszyła od stolika.

- Zaraz, poczekaj...

Lanley próbował złapać ją za rękę, lecz wyminęła go i szybkim krokiem weszła w głąb ogrodu. Lanley chciał podążyć za nią, lecz Marcel zablokował mu drogę.

- Proszę ją zostawić - wycodził, hamując gniew.

- Spokojnie, po co te nerwy. Tylko chcę pomóc.

- Proszę zejść mi z oczu! I to już. Bo każę pana aresztować.

- Dobrze, już mnie nie ma... - Zaczął odchodzić, nagle się odwrócił. - Może choć jakiś drobiazg na temat pańskiego ojca?

- Spadaj!

Gdy Lanley zniknął, Marcel rozejrzał się. Oddychał głęboko, by się uspokoić, choć chciało mu się krzyczeć na całe gardło. Był przepełniony cierpieniem i potężniejącym z każdą sekundą gniewem. Na nią, na siebie, na zły los.

Gdzie ona jest? Przepadła nie wiadomo gdzie... Znowu!

Rzucił się pędem, klucząc po zakamarkach ogrodu. Wreszcie ją znalazł. Opierała się o drzewo. Szarpnęła się, gdy jej dotknął.

- Zostaw mnie. Nie będę z tobą rozmawiać.

- To nie Lanley, przegoniłem go.

Odpychała go gwałtownie, jakby nie słyszała jego słów. Naraz straciła równowagę i upadła, uderzając głową o pień. Próbował ją pochwycić, lecz udało mu się to tylko połowicznie. Osunęła się na ziemię.

- Twoja głowa - wychrypiał. - Cassie... - Gdy zobaczył, że kilka osób biegnie w ich stronę, zawołał: - Zemdlała! Wezwijcie lekarza! - Wziął ją na ręce i biegiem ruszył do hotelu.

Miała zamknięte oczy, lecz nie straciła przytomności. Wiedziała, co się dzieje. Czuła ciepło bijące od Marcela, słyszała bicie jego serca.

Cassie. Tak do niej powiedział.

Chyba się nie przesłyszała.

Wirowało jej w głowie. Może ma zwidy? Naprawdę wiedział, że to ona, tylko się przyczaił? Co teraz zrobi?

Gdy położył ją, otworzyła oczy.

- Ocknęła się - powiedział lekarz.

- Nic mi nie jest, naprawdę - wyszeptała, widząc nad sobą twarz Marcela. - Uderzyłam się i zakreśliło mi się w głowie.

- Zaraz się przekonamy - oznajmił lekarz.

Jego słowa prawie do niej nie docierały. Z desperacją wpatrywała się w Marcela, próbując coś wyczytać z jego twarzy.

Daremnie. Absolutnie nieprzenikniona.

Musi pogodzić się z prawdą, choć wszystko się w niej buntuje. Nie poznał jej, nie wypowiedział jej imienia. To tylko zwidy.

Lekarz skończył badanie.

- Na szczęście nic poważnego, ale zalecam położyć się do łóżka. Ktoś z panią będzie?

- Nie.

- Bardzo szkoda. Byłoby wskazane, żeby tej nocy nie była pani sama.

- Przenocuje w moim apartamencie - oznajmił Marcel. - Ktoś będzie jej doglądać.

- Tak pan mówi? - spytała z przekąsem.

- Tak, pani Henshaw. I proszę darować sobie dyskusję, szkoda mojego czasu. -

Odszedł.

- Bezcelny! - Cała aż się zagotowała.

- Spokojnie - łagodził lekarz. - Zależy mu na pani.

- Ależ skąd. Dopiero się poznaliśmy.

Marcel wrócił po chwili i zawiózł ją na górę, gdzie w apartamencie powitała ich miło wyglądająca młoda kobieta.

- To moja siostra Freya. - Wycofał się szybko.

- Będę miała panią na oku. Co się stało? Co on zrobił?

- To nie jego wina. Uderzyłam się o drzewo.

- Ale on poczuwa się do odpowiedzialności.

- Nie ma powodu.

- Może jest taki szlachetny i odpowiedzialny. Wciąż go poznaję. Jestem jego przyrodnią siostrą. - Po czym powiedziała coś bardzo zaskakującego: - Marcel celowo podkreśla nasze pokrewieństwo, żeby się ze mną nie żenić.

- Słucham?

- Amos wpadł na pomysł, że wyda mnie za któregoś z synów. Wytypował Dariusa, ale odnosi się do tego równie niechętnie jak ja. Marcel jest następny w kolejce, by więc chronić siebie, z uporem mówi, że jesteśmy rodzeństwem.

- Jak pani to odbiera?

- Och, nie szlocham w poduszkę - odparła wesoło Freya. - Nie jest w moim typie. Za bardzo przypomina ojca. Amos jest dla mnie dobry, więc nie powinnam tak mówić, jednak jeszcze nie wszystko stracone, mogę się wykreścić. Na samą myśl, że mogłabym wyjść za takiego faceta... - Wzdrygnęła się teatralnie.

- Jakiego?

- Dla którego liczą się tylko pieniądze. Pieniądze i to, by zawsze być o jeden krok do przodu przed wrogami.

- Marcel ma ich wielu?

- Nie wiem, ale wygląda mi na to, że ma mało przyjaciół. Miły, uroczy, ale to fasada, pod którą kryje się chłód. Tak go odbieram. A najgorsze, że trudno do niego dotrzeć. - Przerwała na moment. - No, pora do łóżka. Zostać z panią?

- Nie, dzięki. Bardzo pani miła.

Chciała zostać sama. Gdy drzwi się zamknęły, naciągnęła kołdrę na głowę i próbowała pozbierać myśli.

Freya powiedziała, że Marcel jest zimny. Marcel, którego znała, nigdy taki nie był. Tak bardzo się zmienił.

To chyba nie dzieje się naprawdę. Kotłowało się jej w głowie. Na pewno nie. Kiedy się obudzę, okaże się, że to był tylko sen. Taką mam nadzieję. Na pewno? Naprawdę tego chcę? Poznał mnie czy nie? Może tylko udaje? Na co liczę?

Trwało to długo, wreszcie jednak usnęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przebudziła się nagle. Było ciemno, słyszała czyjeś kroki. Skuliła się na łóżku, otuliła szczelniej kołdrą. Sama nie wiedziała, czy chce go zobaczyć.

Ktoś stanął w uchylonych drzwiach i patrzył na nią. Serce biło jej jak młot. Nadchodzi chwila prawdy. Wieczorem zachowywał się tak, jakby jej nie poznał, jednak wyszeptał jej imię. Dlatego wszystko już będzie inaczej. Co jej powie? I co ona powie jemu?

Wciągnęła gwałtownie powietrze, czując, że ktoś jej dotknął.

- To ja - powiedziała Freya. - Przepraszam, jeśli obudziłam.

- Nie, nie... w porządku.

Freya zapaliła lampkę i usiadła przy łóżku.

- Przyniosłam pani herbatę.

- Dziękuję.

- Jane... mogę mówić po imieniu? Czy raczej pani Henshaw?

- Nie, proszę. Mam już dość tej całej pani.

- Czyli Jane?

- Tak, choć Jane też mam serdecznie dość.

- Boże, jak mam to rozumieć? - spytała rozbawiona Freya.

- Mam wrażenie, jakbym była kilkoma osobami, ale żadna z nich nie jest prawdziwą mną. To czyste wariactwo, prawda?

- Nie u Falconów - cierpko odparła Freya. - U nich to norma. Trzeba być dobrze zakreconym, żeby połapać się w ich układach. Czasami nawet moją matkę to przeraża. Jest trzecią żoną Amosa, a żadnej nie był wierny.

- Skąd w tym gronie wziął się Marcel?

- Kiedy Amos był mężem Elaine, matki Dariusa, dużo podróżował w interesach. Podczas pobytu we Francji związał się z Laurą. Zamieszkał z nią, na świat przyszedł Marcel.

- A wciąż był mężem Elaine?

- I nadal z nią mieszkał. Dzielił swój czas między Londynem a Paryżem. Nawet miał z Elaine drugiego syna, Jacksona. Kilka lat później Elaine dowiedziała się o wszystkim i zostawiła go. Wtedy Amos przywiózł Laurę i Marcela do Londynu. Poślubił ją, gdy dostał rozwód z Elaine.

- Czyli Marcel wychował się w Anglii? - powoli powiedziała Jane.

- Kiedy tu przyjechał, miał jedenaście lat. Oczywiście sielanka nie potrwała długo, bo Amos znów zaczął skakać na boki. Laura to odkryła i wróciła z synem do Paryża. Marcel miał wtedy piętnaście lat. Po siedmiu latach przyjechał do Londynu, ale nie do ojca. Miał do niego żal, że tak obszedł się z matką. Zrezygnował nawet z jego nazwiska i przyjął panieńskie nazwisko matki, Degrande. - Przerwała na moment. - Miał buntowniczą naturę. Zamieszkał z kumplami, żył z dnia na dzień, mając się wszelkich możliwych prac, jednak po dwóch latach znowu pojechał do Francji, a po jakimś czasie odnowił kontakt z ojcem. Wrócił do Anglii i do nazwiska Falcon. Myślę, że to było do przewidzenia. Poszedł w ślady ojca, ma podobne podejście do życia. Dwa lata luzu to fajna sprawa, ale ten czas się skończył.

- Może coś z tego mu pozostało. Może tylko ukrył to przed światem.

- Bardzo wątpię. Jest nieodrodnym synem Amosa. Twardy, zawzięty, nastawiony na robienie pieniędzy. Wszystko widzi z tej perspektywy. Ocenia, czy coś się opłaca, czy uda się wycisnąć więcej.

- Nie lubisz go?

- Marcel jest dla mnie miły, ale nie ma mowy, żebym za niego wyszła. Prędzej za diabła.

- Ciekawe, że jeszcze się nie ożenił. Przy bogatych facetach kręci się masa kobiet.

- Na to nie narzeka, miał ich bez liku i łatwo się z nimi rozstawał, a na osłodę hojnie je obdarowywał. To stały scenariusz, bo Marcel się nie zakochuje. - Zaśmiała się.

- Nie bierz tych wynurzeń zbyt serio. Nie skłamałam, ale mój przyszywany brat nie jest potworem czy demonem. Ostrzegam tylko, że praca z nim może być męcząca, nie mówiąc już o bliższych relacjach. Zaraz, ale nie rozgrywasz cichej partii? Nie chcesz za niego wyjść, prawda?

- Jeśli mam trochę oleju w głowie, to na pewno nie.
- No dobrze, idę już. Marcel prześpi się na kanapie, nie będzie ci przeszkadzać.
- Jest bardzo miły.
- Nie tyle jest, co potrafi taki być. No, już mnie nie ma.
- Dobranoc. I dziękuję.

Leżała, starając się zapanować nad emocjami. A najbardziej rozsadzał ją gniew.

Marcel, choć na jakiś czas zerwał stosunki z Amosem Falconem, wiedział, że jest jego synem! Czyli ją oszukał. Udawał biedaka, bo łechtało jego dumę poczucie, że został wybrany przez top modelkę, o którą zabiegali wielcy i bogaci. Może miał to być niewinny żart, lecz skutki okazały się opłakane.

- Gdybym wiedziała, że masz bogatego, wpływowego ojca, Jake'owi by nie poszło tak łatwo - ni to szeptała do siebie, ni to myślała. - Poszłabym do Amosa, żeby cię bronił. Przegoniłby Jake'a na cztery wiatry, bylibyśmy bezpieczni. Przez te wszystkie lata mogliśmy być razem, a tak nie zostało nam nic, bo zamiast powiedzieć prawdę, bawiłeś się ze mną w kotka i myszkę. Ty głupcze...

W bezsilnym gniewie tłukła pięściami w poduszkę. Wreszcie znieruchomiała, zmęczona i zaskoczona odkryciem, że może go nienawidzić. Łzy płynęły jej po policzkach. W końcu usnęła.

Drzwi otworzyły się cicho. Marcel wpatrywał się w postać na łóżku. W bladym świetle z korytarza jaśniały pasma włosów na poduszce.

Podszedł bliżej, by spojrzeć na jej twarz. Sen rozluźnił rysy. Jaka podobna do tej, którą niegdyś znał! Kiedy dzisiaj ją ujrzał, nie wierzył własnym oczom. Przekonywał sam siebie, że to nie może być prawda. Wiedźma, która zmarnowała mu życie, znów się objawiła.

Jednak to ona. Powróciła i z szyderczym uśmieszkiem oglądała dokonane przez siebie spustoszenia. Każde jej słowo, każdy uśmiech i każde spojrzenie były dla niego torturą.

Powinien zaprzeczyć, że ją poznaje. Każdy, kto ma choć trochę rozumu, tak właśnie by zrobił. Tyle że przy niej nigdy nie był rozsądny. Opatrzność znów postawiła

ją na jego drodze. Niech teraz ona przez niego pocierpi. „Nie można zmarnować żadnej szansy, każdą trzeba maksymalnie wykorzystać dla siebie”. Życiowa dewiza ojca, wpajana mu od lat. Postąpi wedle niej.

Nagle to łóżko skojarzyło mu się z innym obrazem. Widział samego siebie, jak potwornie skatowany, z połamanymi żebrami, z oczami zalanymi krwią rozpaczliwie czeka na Cassie. Lecz nigdy się jej nie doczekał.

I serce mu skamieniało. Nawet się z tego cieszył, bo bez uczuć łatwiej się żyło. Kobiety z uśmiechem przychodziły i odchodziły z uśmiechem, bo wszystko było z góry ustalone. Gdy przyjdzie czas, wybierze sobie żonę. Nie narzeka na brak znajomych, choć łączą go z nimi tylko układy służbowe. Innymi słowy, żyje pełnią życia.

Jego życie ziele pustką. Serce ziele pustką. Tak jest bezpieczniej.

Przez kilka długich minut stał nieruchomo, potem zamknął drzwi i cicho odszedł. Niech ona nigdy się nie dowie, że tutaj był.

Obudziła się z poczuciem, że nic już nie jest takie, jak było. Powiedziała Frei, że w ostatnich godzinach czuła się, jakby składała się z kilku osób i nie wiedziała, kim jest naprawdę. Teraz wiedziała.

Cassie.

Ten wybór dokonał się, gdy spała. Znow została Cassie, lecz inną niż kiedyś, przepelnioną rozgoryczeniem i gniewem, pałającą żądzą zemsty.

Zapłaci jej za to.

Ukrył przed nią prawdziwą tożsamość. Dla niego to było zabawne. Nie chciał źle, lecz głupi żart miał żalosne konsekwencje. Przyniósł jej lata bólu i cierpienia. Może on też cierpiał, ale nie zamierzała mu współczuć.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do pokoju weszła Freya i powiedziała:

- Przyszłam się pożegnać. Marcel czeka na ciebie ze śniadaniem.

- Dzięki za wszystko.

Cassie ubrała się, ściągnęła włosy w koczek i wyszła do saloniku. Marcel stał przy oknie. Towarzyszący mu dobiegający siedemdziesiątki mężczyzna obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

- Dzień dobry, pani Henshaw - uprzejmie powitał ją Marcel. - Cieszę się, że widzę panią w dobrej formie. To mój ojciec, Amos Falcon.

- Miło mi panią poznać. - Uścisnął jej dłoń, wciąż patrząc badawczo. - Marcel zawsze stawia na jakość, więc wiele się po pani spodziewam.

- Tato... - wszedł mu w słowo Marcel.

- Zapewnił mnie, że pani kompetencje są nie do pobicia - mówił niezrażony Amos.

- Podobnie pani orientacja na tutejszym rynku, a właśnie tego mu trzeba.

Wczoraj była zdecydowana odmówić, jednak teraz sytuacja diametralnie się zmieniła. Przez tych kilka godzin stała się inną osobą.

Uśmiechnęła się lekko.

- Mam nadzieję, że nie zawiodę pokładanych we mnie oczekiwań - odparła gładko.

Widziała, jak Marcel jest zaskoczony. Tego się po niej nie spodziewał.

- Proszę usiąść do śniadania, za minutę do pani przyjdę - poprosił.

Popijając kawę, przyglądała się, jak Marcel żegna się z ojcem i Freyą.

Teraz mogła ocenić go lepiej niż wczoraj wieczorem. Szczupły młodzieniec stał się przystojnym, pewnym siebie mężczyzną o nieco wyniosłym sposobie bycia. Cóż, pewnie to normalne, skoro należy do rodziny Falconów.

To wrażenie minęło, gdy Marcel z uśmiechem wyściskał Freyę, która, choć wczoraj mówiła o nim z ironią, szczerze odwzajemniła przyjacielski uścisk. Amos bacznie im się przyglądał, jakby coś kalkulował w duchu.

Czyli Freya powiedziała prawdę. Amos postanowił wyswatać ją z Marcelem. Niewątpliwie wniosłaby znaczny posag.

Gdy Amos i jego pasierbica wyszli, Marcel podszedł do stolika i usiadł.

- Dziękuję, że tak taktownie pani odpowiedziała. Gdybym wspomniał, że nie zamierza pani przyjąć mojej oferty, wyszedłbym przed ojcem na głupka.

- Wątpię, by to było w mojej mocy. Z pewnością jest pan przygotowany na każdą okoliczność.

- Nabija się pani ze mnie. No dobrze, mam za swoje.

- Zaryzykował pan, mówiąc ojcu, że przyjąłam posadę. Choć przypuszczam, że to skuteczny sposób na... posuwanie się do przodu.

- Zwykle tak było, ale ma pani rację, ryzyko zawsze jest, zwłaszcza jeśli ktoś zamierza robić trudności. - Spostrzegł jej grymas. - Powiedziałem coś zabawnego?

- Robić trudności? Co to znaczy? Nie, proszę nie odpowiadać. Chyba się domyślam. Chodzi o sytuacje, w których ktoś ma własne zdanie, zamiast potulnie godzić się na wszystko. Skąd ja to wiem?

- Może dlatego, że jest pani taka sama?

- Na pewno nie. Działam bardziej subtelnie. Ale pan nie musi się do tego posuwać.

- Niezbyt często. Chociaż pochlebiam sobie, że w razie potrzeby potrafię się na to zdobyć.

- Teraz taka potrzeba nie zachodzi. Jasne postawienie sprawy i panu, i mnie wyjdzie na zdrowie. Powiem wprost. Jestem gotowa przyjąć pana ofertę, jednak pod pewnym warunkiem.

- To znaczy?

- To, co wczoraj ustaliliśmy, zostanie dotrzymane. Moja pensja wyniesie dwa razy tyle co obecna.

- To znaczy ile?

Podawała sumę. Była znaczna, lecz na Marcelu nie wywarła wrażenia.

- Czyli umowa stoi. - Wyciągnął do niej rękę.

Wiedziała, że musi się trzymać, niczego po sobie nie pokazać. Tyle się zmieniło, jednak ciepło jego dłoni wciąż tak samo na nią działało. I budziło tyle wspomnień, że aż chciała krzyknąć. Marcel nie okazał żadnej reakcji.

- Cieszę się, że się dogadaliśmy. Niech pani złoży wymówienie i jak najszybciej zacznie pracę. Wymieńmy się mejlami i telefonami. - Gdy podała mu numer komórki, poprosił: - Drugi też.

- Jaki drugi?

- Ten podaje pani wszystkim. Poproszę ten dla uprzywilejowanych.

- A pański?

Zapisał numer i podał jej kartkę.

- Teraz ja poproszę.

- Nie mam drugiej komórki.

- Pani Henshaw...

- Naprawdę. Wystarczy mi jedna. - Za późno zdała sobie sprawę, że się odsłoniła.

Nie potrzebuje drugiego numeru, bo nie ma komu go dać.

- Mogła to pani powiedzieć, zanim podałem mój numer.

- Wtedy bym go nie dostała. Ale jeśli ma pan obiekcje, to proszę... - Oddała mu kartkę.

- Nie, za późno. Mogła pani go zapamiętać. Bardzo sprytnie, pani Henshaw. Widzę, że muszę być bardzo ostrożny.

- Jeśli ma pan wątpliwości, to niech mnie pan nie zatrudnia.

Popatrzył jej w oczy. Gwałtownie wypuściła powietrze, zaskoczona błyskiem, jaki w nich ujrzała. Takim jak przed laty. Kuszącym, prowokującym, wiodącym na manowce.

- Nie pójdę na to - powiedział cicho i nim zdążyła coś odpowiedzieć, dodał: - I pani o tym wie.

Mogła to być grzecznościowa formułka, tyle że Cassie w głosie Marcela wychwyciła dziwną nutę. Jeśli jednak przyzna, że rozumie jego motywy, może się to dla niej źle skończyć. Lepiej nie ryzykować.

- Skąd mogłabym wiedzieć? Nie znam pana.

- Och, przecież oboje wiemy... to wszystko, co powinniśmy wiedzieć. Decyzja już zapadła.

Zmusiła się do milczenia. Czy to miało znaczyć, że ją poznał i nadal mają swój własny świat, wspólny język?

Nie, nie powinna w to wierzyć. Nie może, bo zwariuje. Wirowało jej w głowie od szaleńczych myśli.

Marcel brutalnie ściągnął ją na ziemię.

- Skoro już to ustaliliśmy, proszę mi powiedzieć, jak pani tu przyjechała?

- Taksówką.

- Świetnie. Na razie lepiej odstawić samochód.

- Nic mi się nie stało, ale i tak wezmę taksówkę.

- Bardzo dobrze. Później do pani zadzwonię. Muszę już się pożegnać, mam spotkanie w banku. Zobaczymy się jutro.

Prezes Smith nie krył zadowolenia, gdy powiedziała mu o nowej posadzie. Zaprosił ją na pożegnalny lunch, a przy winie stał się bardzo wylewny.

- To może być dobra praca, ale powinna być pani bardzo ostrożna. Z takimi jak Falcon zawsze trzeba się mieć na baczności. Może wydawać się super, ale i tak zawsze mu chodzi tylko i wyłącznie o własny interes. Maksymalnie panią wykorzysta, a gdy uzna, że już nic więcej z pani nie wycisnie, wywali na bruk.

- Może tego nie zrobi - starała się bagatelizować.

- Zawsze tak robi. Jest z tego znany.

- Może kiedyś ktoś jego tak potraktował.

- Niech mnie pani nie rozśmiesza! Ktoś go wykopał? Nikt by się nie ośmielił.

- Może nie teraz, ale przed laty, może gdy jeszcze nie był taki mocny...

- Co też pani opowiada! Syn Amosa Falcona przyszedł na świat jako wierna kopia swojego ojca. Twardy, bezwzględny, bezduszny, choć nie widać tego na pierwszy rzut oka. Jest po francusku szarmancki, umie rozmawiać z kobietami. Słyszałem parę historii na ten temat. Ale niech pani nie da się na to nabrać. To pozory. W środku nic nie ma.

- Dziękuję za lunch - rzekła pośpiesznie. - Muszę się zbierać.

- No tak, teraz należy pani do niego, prawda?

- Mój czas należy do niego - sprostowała. - Tylko mój czas.

Wyszła, uciekając przed wizją Marcela, którą roztoczył przed nią Smith. Chciałaby mu wykrzyknąć:

- Pan go nie zna, nie ma pan pojęcia, co przeszedł! Znałam go, gdy był wielkoduszny i kochający, miał serce przepełnione miłością. W każdym razie taki był dla mnie. Był wtedy młody i bezbronny...

Jeszcze kilka godzin temu jej gniew był skierowany na Marcela, teraz chciała go bronić, stanąć między nim a całym światem. Jak inni mogą go rozumieć, skoro nie znali go tak jak ona? Skoro nie wiedzieli...

Czekała, że do niej zadzwoni, jednak komórka milczała. Może spotkanie w banku się przeciągnęło? Starła się nie dopuszczać do siebie poczucia zawodu. Zresztą potrzebowała czasu dla siebie, miała coś do zrobienia.

Zamknęła drzwi i siadła przed komputerem. Przejrzała strony poświęcone Amosowi Falconowi. Było ich sporo. W internetowej encyklopedii przeczytała o jego życiu i karierze. Zaczynał bardzo skromnie, a jednak doszedł do ogromnego bogactwa. O sprawach osobistych było niewiele. Podano tylko, że miał trzy żony i pięciu synów.

Poza Dariusem i Marcelem był jeszcze Jackson Falcon, ceniony twórca telewizyjnych programów przyrodniczych. Poznała go na zdjęciu. Travis Falcon, aktor z amerykańskich seriali, był jeszcze bardziej rozpoznawalny. Ostatni z braci, Leonid, urodzony i wychowany w Rosji, nadal tam mieszkał. Na jego temat były jedynie szczątkowe informacje. Zdjęcia brakowało.

Przeczytała kilka artykułów analizujących pozycję Amosa w świecie finansów, również tych umiarkowanie krytycznych. Był zbyt potężny, aby ktoś odważył się na prawdziwy medialny atak.

Na temat Marcela znalazła niewiele więcej, niż już wiedziała od Frei, natomiast sporo dowiedziała się o jego hotelu La Couronne. Przeszła na stronę hotelu, przejrzała opinie gości i wynotowała to, co uznała za istotne.

Gdy pani Henshaw zakończyła swoją pracę, jej miejsce zajęła Cassie.

Uważnie obejrzała zdjęcia Marcela. Większość zrobiono z oddali. Otworzyła kolejne zdjęcie i znieruchomiała. Pochodziło sprzed dziewięciu lat. Na twarzy Marcela już widać było zmiany. Ściągnięte rysy, wyczuwalna surowość i dystans. Po roku od ich rozstania. Tak mocno to przeżył.

Dotknęła ekranu, jakby w ten sposób chciała cofnąć czas, przywołać tego Marcela, którego kochała. Niestety, to już się nie odstanie. Cofnęła rękę. On też nie był bez winy, bo ukrył przed nią prawdę. Musi o tym pamiętać, inaczej zwariuje.

Jej palce stukały w klawiaturę, jakby kierowane własną wolą. Otworzyło się zdjęcie z głęboko schowanego pliku. Marcel i Cassie w czułym uścisku. Miała wiele takich zdjęć zrobionych aparatem z samowyzwalaczem. To ona nalegała, by uwiecznić szczęśliwe chwile.

- Zawsze będę cię pamiętać - z zębem przekonywał Marcel. - Moja śliczna, zawsze będziesz w moim sercu i mej pamięci. Nawet gdy będę stary i siwy, ty zawsze będziesz ze

mną... - mówił, zdejmując z niej ciuszki. - To jedyna okazja na takie zdjęcia, bo nikt poza mną nie może cię oglądać nago. Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

- Przysięgnij. Na Amora i jego łuk.

- Przysięgam na Amora, jego łuk i wszystkie strzały.

Też nagi, wziął ją w ramiona i obrócił do obiektywu.

- Taką cię zapamiętam - wyszeptał. - Kiedy będziemy starzy i zgrzybiali, pokażę ci to zdjęcie. Żebyś wiedziała, że dla mnie wciąż taka jesteś.

- Do tego czasu już zdążysz o mnie zapomnieć - droczyła się.

- Dlaczego tak mówisz? - Jego gniew zaskoczył ją. - Nie wiesz, że zawsze będziemy razem? Że nigdy nie pozwolę ci odejść?

- Nie chcę, żebyś na to pozwolił.

- Dlaczego nie rozumiesz, że mówię serio? - krzyczał, jakby zupełnie jej nie słuchał. - Dla mnie istniejesz tylko ty. I zawsze tak będzie. Nigdy nie pozwolę ci odejść. Nawet jeśli rozdzieli nas szmat drogi, zawsze będę przy tobie, nie pozwolę ci o mnie zapomnieć. Nigdy nie zdołasz się ode mnie uwolnić.

Skąd przyszły mu na myśl te prorocze słowa? Rozdzieliły ich czas i przestrzeń, a jednak zawsze był w jej myślach. Aż znów się jej objawił.

I znów powróciło dręczące pytanie. Czy Marcel ją poznał? Czy może tylko się jej wydawało, że powiedział: Cassie?

Może niepotrzebnie dopatruje się drugiego dna w jego stwierdzeniu, że decyzja już zapadła? Może to tylko jej pobożne życzenia?

Nie, było coś jeszcze. Dziś rano coś ją tknęło, lecz nie potrafiła tego sprecyzować. W każdym razie czuła, że słowa Marcela miały jakiś podtekst.

To miało związek z numerem telefonu. Powiedział coś... coś...

Co to mogło być?

Oparła głowę na dłoni, drugą ręką kilka razy uderzyła w stół. I jeszcze raz, z rosnącą desperacją.

Kilka kilometrów dalej Marcel przeglądał strony w internecie. Znalazł stronę relacjonującą losy znanych modelek, które już zakończyły karierę:

W ciągu dwóch lat znalazła się na topie i mogła zająć jeszcze dalej, lecz niespodziewanie porzuciła zawód modelki i zniknęła. Od tamtej pory sporadycznie widywano ją w luksusowym otoczeniu, w miejscach dostępnych tylko dla najbogatszych mężczyzn. Zawsze była obwieszona brylantami.

Dlaczego był taki naiwny, dlaczego tego nie widział? Odrzuciła dla niego bogatych adoratorów, za co pokochał ją jeszcze bardziej, ale to było zbyt piękne, by okazało się prawdziwe. Dla niej to była tylko gra. Nie mogła się oprzeć wielkim pieniądzom, był dla niej tylko zabawką.

Powinien to zrozumieć, gdy nie pojawiła się w szpitalu. Leżał zboląły, czekając na jej przyjście. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, przeżywał zawód i wpadał w czarną rozpacz.

Pocieszał się myślą, że Cassie o niczym nie wie, że wszystko będzie dobrze. Jednak jej komórka była wyłączona, a domowego telefonu nikt nie odbierał.

Wreszcie stracił resztkę nadziei, przestał się łudzić. Już wiedział. Nawet nie otworzył jej listu, od razu porwał go na strzępy. Nie chciał jej tłumaczyć.

Widział ją jeszcze tylko raz, w dniu, kiedy wyjeżdżał do Paryża. Wszedł do hali odlotów i ujrzał ją z nowym kochankiem.

- To ty! - wybuchnął. - Nie chcę cię widzieć!

Wyciągnęła do niego ramiona, wołając z rozpaczą:

- Marcel, ty nie rozumiesz... proszę cię, proszę...

- Kochałem cię! - wykrzyknął z furją. - Ufałem ci... A teraz nie mogę na ciebie patrzeć!

- Marcel!

- Zejdź mi z oczu! Dziwka!

Pobiegł przed siebie. To wspomnienie paliło go wstydem. To on uciekł, nie ona. Teraz tak się nie stanie. Pora nadeszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rano po rozterkach nie było śladu. Wiedziała, co ma robić. Zacznie pracować dla Marcela, pozna go lepiej i stopniowo zorientuje się w sytuacji. A potem zobaczy, co z tego wyniknie.

Z kawą i tostem usiadła przy kuchennym stole. Patrząc na ulicę, znów odleciała we wspomnienia. Siedziała przy oknie i czekała na zamówioną dostawę. Kariera rozwijała się błyskawicznie. Właśnie realizowała dwa fantastyczne zlecenia, czekały na nią kolejne. Świat był piękny.

I właśnie wtedy zdarzyło się coś najcudowniejszego.

Z dostawczej furgonetki, która zatrzymała się pod domem, wysiadł młody, wysoki mężczyzna. Wtedy po raz pierwszy ujrzała Marcela. Gdy chłopak podniósł głowę, dostrzegła nie tylko atrakcyjną twarz, ale i psotne ogniki w oczach. Z miejsca ją tym ujął.

Z Marcelem było identycznie. Zatrzymał się jak wryty i uśmiechnął się do niej tak, jakby właśnie dokonał największego odkrycia. Oboje czuli to samo.

Tydzień później, trzymając ją w ramionach, wyznał:

- Już wtedy wiedziałem, że cię pokocham.

- Ja też wiedziałam, że cię pokocham.

- Naprawdę? Mnie, zwykłego dostawcę? Choć mogłaś mieć tylu innych?

- Skoro mogłam ich mieć, to tak samo mogłam ich odrzucić. Sama dokonuję wyboru. To ja wybieram. Zapamiętaj to sobie - dokończyła z udaną powagą.

- Będę pamiętał. Jak pani każe.

Zasalutował żartobliwie, przygarniając ją mocno do siebie... i zapomnieli o bożym świecie.

Był taki przystojny, młody i pełen wiary w przyszłość! Życie go jeszcze nie doświadczyło.

- Dzień dobry!

Podskoczyła, gdy ktoś zawołał z dołu. Stał przy samochodzie i patrzył w jej okno.

- Przepraszam, ale... - Z trudem wracała do rzeczywistości.

- Dzień dobry!

- Och, to pan!
- Kogo się pani spodziewała?
- Nikogo. Myślałam, że pan zadzwoni.
- Mogę wejść?
- Oczywiście. - Rzuciła mu klucze.

Pobiegła do sypialni, narzuciła podomkę i zasunęła suwak po szyję. Niech nie myśli, że chce go oczarować.

- Przepraszam, że tak wcześnie, ale chciałem jak najszybciej obejrzeć mój nowy nabytek - zagaił.

- Chodzi o mnie? - Uśmiechnęła się drwiąco.

- Taka bystra bizneswoman powinna docenić to określenie. Przyjechałem po panią, ale jak widzę, pośpieszyłem się. Proszę dokończyć śniadanie.

- Mogę jeść i pracować jednocześnie. - Nalała mu kawy.

- Czyli zatrudniłem właściwą osobę. Hotel trzeba przebudować, zmienić wystrój. Im szybciej, tym lepiej.

- Według wzorca La Couronne, jak rozumiem. Widzę kilka aspektów... - Zaczęła referować swoje spostrzeżenia. - Sporo można zmienić bez kłopotu... - Znow odwołała się do zdobytej wieczorem wiedzy.

Przysłuchiwał się jej z uznaniem, widziała, że jest pod wrażeniem. To dobrze, przejęła dowództwo.

- Goście powinni czuć odwołania do paryskiego hotelu. To będzie duży plus, jeśli rozszerzy pan sieć na inne kraje.

- Wybiega pani daleko w przyszłość.

- Trzeba patrzeć perspektywicznie. Stopniowo powstaną kolejne hotele pod tym szyldem. W Londynie może nazywać się Crown, we Włoszech La Corona, tak samo w Hiszpanii. W Niemczech Die Krone, De Kroon w Holandii. Czechy i Słowacja chyba będą musiały poczekać...

- No nie! - zawołał z podziwem.

- Kiedy nadejdzie pora, powstanie tam Koruna.

- Wszystko już pani obmyśliła. A myślałem, że to ja jestem zorganizowany.

- Lubię być przygotowana. Nie powinnam?

- Tak, jak najbardziej. Tylko czy ludzie są tacy, jak oczekujemy?

- Ludzie nieczęsto. Co innego z konkretnymi miejscami. Mogą być takie, jak zaplanowaliśmy. Trzeba tylko odpowiednio podejść do problemu.

- Racja. - Podniósł filiżankę. - Z pani pomocą to się uda.

Stuknęła się z nim kawa.

- Pójdę się przygotować.

Gdy wyszła, rozejrzał się po mieszkaniu. Zaskoczyło go, że jest niewielkie i skromnie urządzone. Nie wiodło się jej jak dawniej, jednak u Smitha miała normalną pensję, więc nie powinna narzekać. Tym bardziej dziwne, że tak mieszka. Używane meble, ściany z obłazącą tapetą...

Z łazienki dobiegł szum wody. Brała prysznic. Jak na złość właśnie zadzwonił telefon.

- Zostałem Jane? - powiedział jakiś mężczyzna.

- W tej chwili jest zajęta.

- Proszę powiedzieć, że dzwonił Dave. Muszę pilnie z nią porozmawiać.

Marcel ze zmarszczonym czołem odłożył słuchawkę.

- Dzwonił Dave - powiedział, gdy wyszła z łazienki. - Mówił, że to pilna sprawa.

Sięgnęła po słuchawkę, nim skończył mówić. Ta reakcja jeszcze bardziej pobudziła jego ciekawość.

Starał się nie słuchać, przynajmniej tak sobie wmawiał, jednak to i owo wpadło mu w ucho.

- Dave, spokojnie. Wszystkim się zajmę. Teraz nie mogę mówić. Zadzwoń później.

Czy z jego powodu tak szybko skończyła rozmowę?

Cofnął się myślami w przeszłość. Czy kiedyś mówiła do niego takim tonem? Nie, nigdy. Czemu więc w stosunku do Dave'a jest taka uległa? Może to facet z wielką kasą? Nie, mieszkanie nie wskazywało na to, żeby miała bogatego wielbiciela. Może jest niesamowicie przystojny? Albo ma inne walory? Dlatego tak jej na nim zależy?

- Chyba czas na nas - powiedział, kryjąc frustrację.

Też wymusiła pogodny uśmiech, zaraz jednak skupiła się na zadaniu.

- Spodziewają się pana w Altonie?

- Zobaczą więcej, jeśli zjawię się niezapowiedziany. Przedstawię się i od razu przystąpię do lustracji...

- A może w ogóle incognito? Choć pewnie pana poznają.

- Raczej nie, to nie mój teren. Incognito? Mówi pani poważnie?

- Niech pan na razie nie zdradza, że jest właścicielem. To najlepszy sposób. -

Podeszła do telefonu. - Halo, czy macie wolny pokój? Jakie są ceny? Proszę mi podyktować. - Powtarzała na głos, patrząc na cierpką minę Marcela. Nic dziwnego, że hotel nie przynosił kokosów.

- Wezmę najlepszy apartament - powiedział cicho.

- Na jakie nazwisko? Proponuję pana, bo gdyby...

- Słusznie. W razie czego nikt nie poczuje się oszukany.

- Pan Marcel Falcon - powiedziała. - Przyjedzie dzisiaj.

- Sprytnie rozegrane, pani Henshaw - mruknął z niechętnym podziwem. Była kompetentną bizneswoman, to oczywiste, ale również bezbłędnie i z marszu rozgrywała takie proste partyjki. Czy to cecha charakteru, czy tylko dodatkowy atut zawodowy? Nim jej się dokładnie przyjrzy, wolał trzymać się tego drugiego. - Nikt jeszcze nie wie o transakcji, ot, zwykły gość, jakiś tam Falcon. Naprawdę sprytnie. - Mogło to zabrzmieć jak pochwała, ale nie musiało.

- Spryt się przydaje - zareplikowała.

- W takim razie jedźmy do hotelu Gloriana, potem do Altona. Poczekam na dole.

Wyszedł na ulicę, popatrzył na jej okno. Wiedział, co teraz robi - dzwoni do Dave'a, żeby pogadać z nim swobodnie.

Mylił się, bo włączyła internet i złożyła kilka zleceń, po czym wysłała do Dave'a SMS-a, że wszystko załatwione.

Wróciła myślami do Marcela. Była pewna, że ją rozpoznał, ale nie chce się przyznać. Tyle że przed sobą tego nie ukryje, nawet gdyby bardzo się starał. Dawny Marcel walczy z nowym, ale to z góry przegrana walka.

Popatrzyła na swoje odbicie, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Hotel Alton prezentował się osobiście.

- Kiedyś to była rezydencja księcia - wyjaśniła. - Stąd taki rozmach. Jednak musiał ją sprzedać, a nowi właściciele nie zrealizowali swych planów.

Obsługa ich nie rozpoznała. Wjechali do luksusowego czteropokojowego apartamentu. W głównej sypialni stało ogromne podwójne łóżce.

Cassie podeszła do okna.

- Właśnie na to liczyłam - powiedziała z przejęciem. - Proszę spojrzeć na budynek obok. Powinien pan go kupić.

- Zaraz zobaczę. - Staął obok niej. - Tak, idealne miejsce. - Przez kilka minut roztrząsał możliwości.

Prawie go nie słyszała. Czowała się jak zahipnotyzowana. Gdy był tak blisko, czowała się inaczej... jak dawniej. Zawsze lubiła, że górował nad nią wzrostem. Kiedy położył rękę na jej ramieniu, omal nie podskoczyła.

- Może pójdziemy przyjrzeć się dokładniej? - zaproponowała.

- Stąd widzę wszystko, co trzeba. Zamierzam go zburzyć i zbudować nowy.

- Mogę skontaktować pana z trzema świetnymi firmami budowlanymi.

- Nie możemy od razu zatrudnić najlepszej?

- Mając trzy, może pan wynegocjować najlepszą ofertę.

- Wspaniale. Czyta pani w myślach szefa i skrupulatnie wypełnia polecenia.

- Przecież po to tu jestem.

- W takim razie mam pewne polecenie. Nie zatrudniam ponurych i niedostępnych kobiet.

- Zwalnia mnie pan?

- Nie. Chciałbym tylko, by się pani wyluzowała, trochę zmieniła wygląd.

- Mam być bardziej wyzywająca? - spytała z udanym zdumieniem. - Panie Falcon, chyba pana nie zrozumiałam.

- Bo pani nie chce zrozumieć - odparł z uśmiechem. - Będziemy spędzać ze sobą dużo czasu i...

- Jestem aż tak szpetna? Wyglądam jak straszidło?

- Skądże, tylko z jakichś powodów chce pani tak wyglądać, a to budzi lęk.

- Absurd... Dlaczego ktoś miałby tak robić?

- To nie absurd, tylko dobre pytanie. Zostawimy je na później. Ktoś puka, pewnie obsługa.

Odszedł, a ona chwyciła się parapetu, żeby nie upaść. Drżała od dotyku dłoni Marcela. I z wrażenia, że nim też wstrząsało wyczuwalne drżenie.

Przez kilka godzin krążyli po hotelu, starając się nie wzbudzić podejrzeń. Wreszcie wrócili do apartamentu i usiedli przy kawie.

- Sprawdzę pocztę. - Otworzył laptopa, wysłał kilka mejli, po czym oznajmił: - Pora coś zjeść. Na górze jest restauracja...

Zadzwoniła komórka Cassie. Marcel obserwował, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

- Dave, zrobiłam, co mogłam - rzekła z westchnieniem.

Dave. Trzyma ją w szachu. Może kiedyś coś ich łączyło? A może to szantażysta?

- Dobrze, dobrze. Prześlę jeszcze trochę. To na razie - Odwróciła się do Marcela. - Mogę skorzystać z komputera?

- Bardzo proszę.

Weszła na swoje konto w banku. Była tak zaabsorbowana, że pewnie zapomniała o obecności Marcela. Próbowwała przelać pieniądze na inne konto, lecz bank odmówił, bo przekroczyła limit.

- No nie! - wybuchnęła.

- Nie chcę się wtrącać, ale jeśli ten człowiek wymusza od pani pieniądze, to trzeba szukać pomocy.

- Wymusza? - spytała w osłupieniu.

- Dlaczego daje mu pani pieniądze? Zwłaszcza że ich pani nie ma?

- Dave to mąż mojej siostry. Mają masę problemów, próbuję im pomóc.

- To... pani szwagier?

- Tak. Czemu się pan tak dziwi?

Nie odpowiedział od razu, za bardzo był poruszony. Wiedział tylko, że słońce znowu zaczęło świecić.

- Bo nie zrobił na mnie wrażenia kogoś z rodziny - rzekł wymijająco.

- Wiem. Jest jak dziecko, które rozpaczliwie czegoś chce. Mają córeczkę, która wymaga ciągłej opieki, więc siostra nie może iść do pracy. Zaraz, jeszcze tylko chwilę...

- Nie, teraz ja. - Wszedł na paryskie konto i przetransferował Cassie pokaźną sumę.

- Proszę tylko wbić dane swojego rachunku. - Była tak zaskoczona, że nie oponowała. Gdy spełniła polecenie, Marcel dodał: - Teraz niech pani prześle mu pieniądze i sprawa załatwiona.

- Prześlę je siostrze, to ona opłaci rachunki. Dave już poszedł do pubu.

Poczuł ulgę, słysząc jej ton. A więc podejrzenia się nie potwierdziły. Dave nie zajmuje w jej życiu ważnego miejsca.

- Dziękuję - powiedziała, zakończywszy transakcję. - Nie wiem, jak...

- Postawmy sprawę jasno. Pomogłem z całkowicie egoistycznych powodów. Nie chcę, by rozpraszała się pani na inne sprawy, martwiła o pieniądze.

- Ale to bardzo duża suma.

- Trzymiesięczna pensja z góry. Teraz już musi pani dla mnie pracować, czy tego chce, czy nie.

- Już powiedziałam, że chcę.

- Mogła się pani rozmyślić. - Uśmiechnął się lekko. - Z doświadczenia wiem, że kobietom trudno dotrzymywać słowa, no to została pani moją zakładniczką. Przepraszam, jeśli czuje się pani dotknięta.

- Nie, jestem wdzięczna. Siostra naprawdę ma ogromne kłopoty.

- Pomaga jej pani finansowo. Dlatego tak pani mieszka?

- A jak? Powinnam pławić się w luksusach?

Zapadła cisza, wreszcie Marcel powiedział:

- Musimy się napić i zjeść coś porządnego. Najlepsza restauracja jest na górze, chodźmy tam.

Połowę sali osłaniał szklany sufit, reszta była pod gołym niebem. Pogoda dopisywała, więc usiedli w drugiej części, skąd roztaczał się imponujący widok na Londyn. Zachodzące słońce zalewało niebo szkarłatnym blaskiem.

- To jak patrzeć na pożar bez lęku - w zadumie powiedziała Cassie.

- Jest coś takiego jak pożar, którego nie trzeba się bać? - Niby powiedział to lekkim tonem, lecz można było wyczuć skrywane napięcie.

Za bardzo się wsłuchujesz, ostrzegła się w duchu. Uważaj, bo wpadniesz w niezłą paranoję.

- Co pani powiedziała? - zapytał Marcel.

- Nic. Ja tylko...

- Coś jakby o słuchaniu paranoi... albo że paranoja nie jest zła?

- Bzdura. - Zaśmiała się nerwowo. - Nic nie mówiłam. - A jednak tak. Szeptała do siebie.

- Hm... O, jest kelner. Pora na uroczystą kolację. - Zamówił najlepsze potrawy, łącznie z szampanem i kawiozem, konsultując się z Cassie.

W ogóle odnosił się do niej z wielką atencją.

„Póki mu jesteś potrzebna...”.

Dopadły ją te słowa Smitha, lecz zaraz je odepchnęła.

- O co chodzi? - zapytał. - Dlaczego tak tajemniczo się pani uśmiecha?

- Nic takiego - wykręcała się.

- Aha. No dobrze. Nie będę naciskać.

- Okej... - zdecydowała się. - Chciałam o coś zapytać.

- Śmiało.

- Kiedy uderzyłam się o drzewo, chyba nazwał mnie pan Cassie. Kto to jest?

Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby zbierał myśli. A ona nagle ujrzała siebie z jego perspektywy. Surowy strój, przyklejone do głowy włosy, okulary w stalowej oprawce. Niemal słyszała jego myśli: Jak mogłem uznać, że to ona?

- To dziewczyna, którą kiedyś znałem.

- Przypomniałam ją panu? Jestem podobna?

- Nie, zupełnie nie, ani z wyglądu, ani ze sposobu ubierania. Była otwarta na świat i...

- I? - ponagliła go, gdy zamilkł.

- Nic.

- Była otwarta na świat, a ja nie?

- Pani woli ukrywać swoje uczucia.

- Można to tak ująć. - Uśmiechnęła się. - Choć taka postawa nie wszystkim musi się podobać. Powiedział pan, że wyglądam ponuro i odpychająco, a nie tak dawno ktoś porównał mnie do strażniczki więziennej.

- Powiedział to w oczy?

- Stałam w cieniu, podsłuchałam.

- Nie wydaje się pani tym urażona. Większość kobiet czułaby się dotknięta.

- Nie należę do tej większości.

- Tak, prawda... Zaczyna to do mnie docierać.

- W mojej pracy taki wygląd to duży atut. Ludzie nie zwracają na mnie uwagi, zapominają o moim istnieniu. Wtedy można sporo się dowiedzieć.

- Ale nie spędza pani w pracy całego życia. Co z resztą czasu?

- Z jaką resztą? - rzuciła obojętnie. - Życie to praca, generowanie zysku, wykorzystywanie każdej nadarzającej się okazji. Co jeszcze?

- To tylko słowa, a nie życiowe credo wprowadzane w czyn, bo niby skąd to przyzwolenie, by rodzina puszczała panią z torbami?

- Potrzebują wsparcia, więc muszę więcej zarabiać. - Wzruszyła ramionami. - Kiedyś zbiję taki majątek, że nie tylko będę mogła im pomagać, ale i zostanę finansowym despota.

- Niektórzy uważają, że w życiu co innego jest ważne. - Patrzył na nią uważnie.

- Niektórzy są nieudacznikami.

- Bez wątplenia... Ale nie my, prawda?

- Absolutnie nie my. Przyniesiono szampana.

- Wypijmy toast. - Marcel uniósł kieliszek. - Za nas i za to, co chcemy osiągnąć. - Zabrzącało szkło. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczy pani La Couronne.

- A zobaczę?

- Tak, i to jak najszybciej. Musi pani poznać mój paryski hotel, by dostosować do jego stylu i atmosfery to, w co ma się przemienić Alton.

- Uprzedzam, że słabo znam francuski.

- Naprawdę? Spodziewałem się, że tak kompetentna osoba świetnie nim włada.

- Znam parę słów, niewiele...

Mon seul amour, je t'aime pour toujours...

Tych żarliwych, namiętnych zapewnień nauczyła się od niego i powtarzała je z uczuciem. Chciała zrobić mu niespodziankę i zaczęła się uczyć języka, ale rozstali się, nim zdążyła mu o tym powiedzieć.

- Proszę się nie przejmować. W Paryżu jest tylu angielskich turystów, że mój personel bez problemu się z nimi porozumiewa.

- Na jak długo mam tam pojechać?

- Przynajmniej na kilka tygodni. Czy to problem?

- Nie, ale przed wyjazdem muszę załatwić parę spraw. Może wezmę na jutro wolne?

- Oczywiście. Jest jeszcze jakaś rodzina? Domyślam się, że nie ma pani dzieci, skoro tak pani pomaga rodzinie siostry. A pan Henshaw? Nie będzie mieć pretensji?

- Nie - ucięła. - Mogę jeszcze szampana?

Kiedy Marcel napełnił kieliszek, podeszła do krawędzi dachu i zapatrzyła się na migoczące w dole światła Londynu.

Pan Henshaw nigdy nie istniał, choć rzeczywiście kiedyś była mężatką. Eksmąż nawiedzał ją w nocnych koszmarach. Starła się wymazać z pamięci złe wspomnienia, kontrolować myśli. To stało się jej drugą naturą. Jednak ostatnie wydarzenia przywołały z mroku jego obraz, napełniając ją lękiem i przerażeniem.

I nie było przed tym ucieczki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Małżeństwo było dla niej koszmarem. Jake zawzięcie parł do tego, by została jego żoną, i nie było przed nim ucieczki. Broniła się, rozpaczliwie łudząc się nadzieją, że Marcel do niej wróci. Czepiała się tego nawet po ostatnim, upiornym spotkaniu. Wiedziała, że cierpi i jak ona nie śpi po nocach, rozpamiętując to, co się stało. Liczyła, że wspomnienia szczęśliwych chwil okażą się silniejsze od rozpacz i uświadomią mu, że ich miłość nie może się tak skończyć. Odszuka ją i ocali, a potem znów będą razem.

Tak się niestety nie stało. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Marcel nie dawał znaku życia. Nie mogła już dłużej zamykać oczu na prawdę. Znienawidził ją, odciął się od przeszłości. Nie wrócić do siebie, nie ma dla nich wspólnej przyszłości.

Uszło z niej powietrze, nie miała już siły, by walczyć... i Jake wsunął jej na palec olśniewający pierścionek zaręczynowy. Patrzyła na to jakby w letargu.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Ślub miał się odbyć w najszybszym możliwym terminie, a Jake nie odstępował jej na krok. Jedyne, co wywalczyła, to ślub cywilny. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła przysięgać mu w kościele. Zresztą „wywalczyła” to zbyt wielkie słowo, bo Jake miał za nic takie szczegóły. Ważne, by została jego żoną. Kosztowny pierścionek z brylantami i szafirami oznajmiał całemu światu, do kogo należy Cassie.

Przeżyła z nim trzy lata. Zaklinał się, że ją szaleńczo kocha, i w jakimś sensie nie kłamał. Był okrutny i samolubny, bezlitosny wobec innych, jednak dla Cassie był gotów na wszystko. Dla niej miał miękkie serce.

Cieszyło ją poczucie władzy, którą zyskała nad nim, zwłaszcza że poza tym nic innego nie miała. Jake był gotów spełniać wszystkie jej prośby, więc wyciągała od niego pieniądze na dwie fundacje, z którymi była związana. Jedna wspomagała dzieci, a druga zwierzęta.

W zamian oczekiwał, by była dla niego... miła. Wzdragała się ze skrywanej odrazy, bo ich noce dramatycznie różniły się od tego, czego zaznała w ramionach Marcela. Wybawieniem okazała się ciąża. Miała pretekst, by odsunąć Jake'a od siebie, na co, ku

jej zaskoczeniu, zgodził się bez dyskusji. Myśl, że niedługo pojawi się na świecie jego potomek, poruszyła w nim sentymentalne struny. Chciał chronić Cassie.

Wtedy poczuła, że może los ma jeszcze coś dla niej w zanadrzu, że jest jakaś nadzieja. Urodzi dziecko, pokocha je, będzie miała dla kogo żyć.

Jednak po pięciu miesiącach poroniła. Lekarze nie potrafili wskazać przyczyny. Nie zdarzyło się jej nic złego, żaden wypadek czy stres. Po prostu tak się stało. Przyszłość znów nabrała czarnych barw.

Nadzieja pojawiła się z zupełnie nieoczekiwanej strony. Przypadkiem odkryła, że Jake ją zdradza.

- To nie moja wina - tłumaczył się. - Od tylu miesięcy nie możemy... teraz już będzie inaczej.

- Owszem, będzie inaczej - oznajmiła twardo. - Rozwodzę się z tobą.

Żarliwe protesty Jake'a nie zrobiły na niej wrażenia, groźby również.

- Jeśli chcesz mnie zniszczyć, to proszę bardzo. Co jeszcze gorszego może mnie spotkać? Śmiało, nie miej oporów. Mnie to już nie rusza.

Przyjął to powściągliwie. Cóż, znała wiele jego tajemnic, wiedziała o ciemnych sprawkach. Pewnie dlatego odpuścił. Nim zdążył zmienić zdanie, oddała mu wszystkie kosztowne prezenty, łącznie z pierścieniem zaręczynowym, i błyskawicznie wyprowadziła się z domu.

Jake znów próbował ją przekonać, lecz była nieugięta. Nie zgodziła się też na hojną rekompensatę, którą proponował. Przystąpiła tylko na skromną sumę, którą przekazała rodzinie. Dla siebie nie chciała ani grosza.

- Jeśli będę korzystał z twoich pieniędzy, uznasz, że wciąż masz nade mną władzę. A ja chcę zapomnieć o twoim istnieniu.

- Łamiesz mi serce - wykrztusił.

Po czasie doszła do wniosku, że wcale nie udawał. Dziwne, lecz dla tego straszego człowieka naprawdę się liczyła. Jednak to jej nie poruszyło. Już się go nie bała. I z jego upadku czerpała upajające poczucie władzy.

Zrezygnowała z nazwiska Jake'a, przyjęła panięskie nazwisko mamy i stała się panią Henshaw.

Uwolniła się od męża, ale została bez grosza przy duszy. Nie miała szans na powrót do zawodu. Wprawdzie nadal prezentowała się świetnie, lecz coś się w niej wypaliło, straciła dawną magię. Imiała się różnych niewdzięcznych prac, a wieczorami zapamiętała się uczyła. Skończyła studia biznesowe, znalazła pracę w banku, wspinała się po szczeblach kariery. I nigdy nie oglądała się za siebie.

Teraz była na szczycie i starała się wierzyć, że to wszystko warte było zachodu. Jednak gdy spojrzała na Marcela, który popatrywał na nią od stolika, poczuła dojmującą wrogość. Z wielką chęcią by go powaliła na ziemię.

Mogłeś mnie ocalić, myślała z bliską nienawiści goryczą. Zostałam sama, lecz gdybym wiedziała, kim naprawdę jesteś, poszłabym do twojego ojca i wszystko potoczyłoby się inaczej. Dlaczego nie byłeś ze mną szczerzy? Mogłeś uratować mnie przed koszmarnym małżeństwem, przed utratą dziecka. Nie zmieniłabym się w bezdusznego robota. Niech cię diabli!

- Co się stało? - Marcel podszedł do niej. - Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Ależ skąd - odparła pogodnie. - Podziwiam widok, napawam się świeżym powietrzem.

- Chodźmy do stolika. - Stanowczym ruchem odciągnął ją od krawędzi dachu. - Opowiedz mi o sobie - zagadnął, gdy już usiedli. - Co stało się z twoim mężem? Odeszłaś od niego?

Tak jak od ciebie, to miałeś na myśli? - dociekała w duchu. I nadal tak myślisz, ale nie zdekonspirujesz się i nic nie powiesz.

- Owszem, odeszłam, ale tylko dlatego, że mnie zdradzał. - Była ciekawa, jak wykorzysta tę informację. Jeśli szuka zemsty, to właśnie podsunęła mu okazję. Czy jednak właśnie tego chce? Nie wiedziała.

- Mam nadzieję, że zabezpieczył cię finansowo - skomentował Marcel.

- Nie zgodziłam się na to. Proponował udziały w swoich spółkach i kontrolowane przez niego lokaty, więc nadal miałby nade mną władzę, a to było wykluczone. Nikt i nigdy nie będzie mieć mnie w garści.

- Gdy zrywasz z facetem, to całkowicie - cicho powiedział Marcel.

- To jedyny sposób. - Zaśmiała się wyzywająco. - Kiedy z nim kończę, przestaje dla mnie istnieć.

- Nie oglądasz się za siebie?

- To nic dobrego - odparła ledwie słyszalnie. - Budzi nienawiść, nakłania do czegoś, czego nie powinno się robić... aż sam zaczynasz siebie nienawidzić. - Nie patrzyła na niego. Nie miała odwagi.

Odpowiedział też prawie szeptem, jednak wychwyciła ton ostrzeżenia:

- To szczerą prawdą.

Popatrzyła na niego, jednak umknął wzrokiem, nim zdołała cokolwiek wyczytać w jego oczach. Czekwała z nadzieją, że znów na nią spojrzy i nawiązą kontakt, jednak Marcel wciąż patrzył w dal. Ta cisza ogłuszała jak krzyk.

Wokół nich migotały światła, atmosfera stawała się coraz bardziej nastrojowa, przy stolikach siedziały zakochane pary. Miejsce wymarzone na schadzki kochanków nabrzmiało gorącymi emocjami i czułymi spojrzeniami.

To już nie dla mnie, skonstatowała w zadumie. Te czasy już minęły.

Nieopodal nich siedział przysadzisty, dobiegający pięćdziesiątki krezus, sądząc po ubiorze, i świadoma swojej urody piękna kobieta. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Mogłaby być młodą Cassie.

- Nie ma sensu zawracać mu głowy - powiedział jakiś mężczyzna. - Przepraszam - dodał, bo Marcel i Cassie odwrócili się w jego stronę. - Zamierzałem pogadać z nim o biznesie. - Zerknął na krezusa.

- Teraz to raczej niemożliwe - z uśmiechem odparł Marcel.

- Niepotrzebnie się tu umówiłem. Za dużo kręci się tutaj wesołych pańienek. Gdzie tylko spojrzeć, od razu pojawia się ślicznotka, która doskonale wie, jak pozbawić człowieka pieniędzy. - Zerknął na Cassie. - Och! Proszę wybaczyć - zaczął się sumitować. - Oczywiście nie panią miałem na myśli!

- Tak, oczywiście... - powtórzyła ze specyficzną intonacją.

- Chciałem powiedzieć, że pani jest bardzo... poważna - tłumaczył się niezręcznie. - Nie chciałem pani urazić.

- Chodzi panu o to, że nie sprowadzam mężczyzn na złą drogę? - dręczyła go dalej.
- Niektóre kobiety poczułyby się dotknięte.

- Przepraszam - sumitował się. - Strzeliłem gafę. Proszę o wybaczenie. - Oddalił się pośpiesznie.

- Dałaś mu nauczkę - podsumował Marcel. - Wił się jak piskorz.

- Tak. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Widziałeś jego minę?

Mężczyzna dołączył do swojego towarzystwa, a napotkawszy spojrzenie Cassie, uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Boi się mnie - powiedziała cicho. - To ci nie przeszkadza?

- Niby dlaczego? Nie zamierzam sprowadzać go na złą drogę. Ta dziewczyna teraz mi się przygląda. Ciekawe, czy widzi ostrzeżenie.

- Że twój wzrok może zamienić ją w głaz? - zażartował Marcel.

- Nie. Że choć tak zaczyna, to może skończyć jak ja. Oczywiście nie uwierzy... - Wiedziała, że posunęła się za daleko.

Marcel z pewnością pamięta ich wspólne chwile i czyta w jej oczach. Jednak nie otworzy się przed nim, póki nie zdobędzie się na wyznanie, że ją poznał. Co może się nigdy nie zdarzyć...

Ogarnęło ją poczucie porażki. Nic z tego nie będzie, zabraknie jej sił. Chciała zapłakać, uciec od Marcela. Zaczęła wstawać, jednak przytrzymał jej dłoń.

- Dobrze się czujesz? Coś cię zmartwiło?

Jego głos brzmiał miękko, oczy patrzyły na nią z niepokojem. Jakby nagle ujrzała przed sobą innego człowieka, takiego, jakim był kiedyś. To ją rozkleiło.

- Muszę już iść. Jest późno i jestem zmęczona...

- Oczywiście. Odwiozę cię do domu.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie ma potrzeby. Nic mi nie jest.

- Powiadomię recepcję, żeby podstawili samochód. Uwolnisz się ode mnie.

- Nie chodzi o to... - zaczęła gwałtownie.

- Owszem, o to. Też tak to czuję - mówił cicho, z naciskiem. - Potrzebujemy oddechu, żeby potem wszystko razem poukładać. - Przytrzymał jej spojrzenie. - Mam rację?

Gdy w milczeniu kiwnęła głową, Marcel odprowadził ją do samochodu. Począł, aż wsiadła, po czym spytał:

- To co, tak jak uzgodniliśmy? Lecimy do Paryża?

- Oczywiście.

- W takim razie bądź gotowa jutro.

- Jutro? Powiedziałeś, że mogę wziąć wolny dzień na załatwienie spraw...

- Zmieniłem zdanie. Szkoda czasu. Zdalnie wszystko załatwisz. Przyjadę po ciebie o dziewiątej rano. - Uściskał jej dłoń. - Będziesz czekać?

- Oczywiście.

- Nie znikniesz?

- Nie.

- Obiecuj - zażądał z naciskiem, a nawet ostro.

- Obiecuję.

Wpatrywał się w nią intensywnie, aż nagle cofnął się i zatrzasnął drzwi. Stał nieruchomo, odprowadzając wzrokiem samochód. Ktoś mógłby pomyśleć, że ten samotny mężczyzna czepia się resztek nadziei.

Po jakimś czasie Marcel wyjął komórkę i wybrał numer, a gdy zgłosiła się prywatna firma ochroniarska, podał adres Cassie, po czym poinstruował twardym tonem:

- Obserwujcie dom. Jeśli wyjdzie z walizką i wsiądzie do taksówki, macie natychmiast mnie powiadomić i jechać za nią. I ani na chwilę nie spuszczać jej z oka.

Jake lubił obnosić się z bogactwem, eksponować swój status. W samolotach rezerwował najdroższe miejsca i zjawiał się w ostatniej chwili, robiąc wokół siebie maksymalnie dużo szumu.

W przeciwieństwie do eksmeża, Marcel przyjechał na lotnisko wcześniej, karnie stawił się do odprawy, a potem spokojnie dojechał do czekającego na nich odrzutowca.

- Należy do mojego ojca - wyjaśnił.

Samolot olśniewał luksusem. Wygodne, przepastne fotele dla ośmiu pasażerów, pokładowa kuchenka, z której steward serwował jedzenie i napoje.

- Zapowiadają dobrą pogodę, lot będzie spokojny - rzekł Marcel, kiedy samolot ruszył. - Nie ma powodu do niepokoju.

Czyli pamiętał, że bała się latania. Kiedyś wróciła do domu zdenerwowana po męczącym locie. Marcel czekał na nią podekscytowany, ciesząc się z jej powrotu i licząc na upojną noc, jednak skończyło się na tym, że tylko czule ją tulił, tak bardzo była rozdygotana. Za to jeszcze mocniej go pokochała.

- Byłaś kiedyś w Paryżu? - zapytał teraz.

- Nie, ale zawsze chciałam tam pojechać. Chcę wszystko obejrzeć.

- Zabraknie na to czasu. Zamieszkas w hotelu, dostaniesz biurko w moim gabinecie, wszystko ci dostarczą. Przygotuj się, że będziesz jak w więzieniu.

Przez moment niemal mu uwierzyła, lecz wesoły błysk w jego oczach mówił sam za siebie.

- Tak, jasne - odparła kpiąco.

- Nie wierzysz? Poczekaj, aż zobaczysz zamki w drzwiach.

- Bzdura!

- Tak się nie mówi do pracodawcy.

- Może i nie, ale dobrze wiemy, że nie jadę po to, by szczegółowo poznać system funkcjonowania hotelu La Couronne. Mam chłonać atmosferę, czyli również atmosferę miasta.

- Sprytnie, bardzo sprytnie. Jak rozumiem, dostosujesz pracę do własnych potrzeb.

- W tym jestem dobra - odparła buńczucznie. - Kontroluję sytuację.

Uśmiechnął się. Odpowiedziała tym samym. Cieszyła ją ta chwila przyjaznego porozumienia. Nagle z jej piersi wyrwał się mimowolny okrzyk, bo samolot szarpnął i opadł kilka metrów.

- Przepraszam, ale wpadliśmy w dziurę powietrzną - poinformował pilot. - Niewielka turbulencja.

- Spokojnie. - Marcel ujął jej dłonie. - Zaraz minie. Nic nam nie grozi.

- Wiem, że to nic wyjątkowego - wykrztusiła. - Tylko...

- Trzymaj się mnie. - Zacisnął palce mocniej.

Uśluchała go. Zamknęła oczy, potrząsnęła głową.

Nie powinna się bać, lecz nie była w stanie się rozluźnić. Samolotem zatrzęsło.

- Nie, nie, nie...

- Popatrz na mnie - rozkazał Marcel. - Otwórz oczy.

Podniosła powieki i świat przestał istnieć. Jego wzrok trzymał ją w ryzach. Co gorsza, wcale nie chciała się od niego uwolnić.

- Już dobrze - powiedział. - Zaraz będzie koniec.

Samolot przestał się trząść, ale nie dlatego odetchnęła i poczuła się bezpieczna. Kurczowo trzymała Marcela za rękę, czując, że przy nim nic złego nie może się zdarzyć.

- Przepraszam - odezwała się drżącym głosem. - Głupio tak się bać...

- Każdy z nas ma swoje lęki. Niekoniecznie sensowne.

- A mówiłam, że zawsze kontroluję sytuację...

- Wszyscy do tego dążymy - powiedział spokojnie. - I wciąż się przekonujemy, że nic z tego.

- Mylisz się - zaproponowała żywo. - W każdym razie nie musi tak być.

- Chciałbym, żebyś miała rację. - Gdy zerknął na ich splecione dłonie, delikatnie oswobodził rękę.

Zmusiła się, by ich nie przytrzymać. Nie może poddawać się takim impulsom. Jest silna. Kontroluje sytuację. Sama to powiedziała.

Limuzyna zawiozła ich do centrum. Cassie z fascynacją oglądała mijane ulice, poznawała charakterystyczne obiekty. Zatrzymali się na Champs Elysées.

Nie tylko imponujący, ale i piękny Hotel La Couronne wznosił się przed nimi. Pracownicy z atencją witali szefa, a Cassie przyglądali się z ciekawością. Ktoś zabrał jej bagaże i poprosił, żeby podążyła za nim.

- Zobaczymy się później - powiedział Marcel.

Zakwaterowano ją w luksusowym apartamencie.

- Jestem Tina - przedstawiła się czekająca na nią pokojówka. - Służę wszelką pomocą. Rozpakuję bagaże.

- Dziękuję. Pójdę się odświeżyć.

Weszła do łazienki i krytycznym wzrokiem obrzuciła swoje odbicie w lustrze. Marcel powiedział, że powinna złagodzić swój wygląd, ale na razie nic z tym nie zrobiła. Nie skomentował tego. Rozpuściła włosy. Kiedyś nosiła loki, teraz długie, proste pasma opadały jej na ramiona.

Już nie jestem Cassie, pomyślała. Sama siebie oszukiwałam. Z westchnieniem wyszła z łazienki i zatrzymała się jak wryta.

- Tina mnie wpuściła - wyjaśnił Marcel. - Wpadłem sprawdzić, jak się rozgościłaś. Jeśli jesteś gotowa, to oprowadzę cię po hotelu.

- Dobrze, tylko... - Dotknęła ręką włosów.

- Zostaw je. Wystarczy odsunąć je tak... i tak... - Zanurzył palce w jasnych puklach, odgarnął je na plecy i wygładził.

Starła się nie zwracać uwagi na dotyk jego palców muskających jej twarz, jednak pewnych doznań się nie zapomina: dotyku kochanka, ciepłego tchnienia jego oddechu... Te wspomnienia poruszały ją do głębi.

On już nie jest twoim kochankiem, powtarzała sobie. Pamiętaj o tym.

Otrząsnęła się i powiedziała wyważonym tonem:

- Chodźmy obejrzyć hotel.

- Domyślam się, że sporo już o nim przeczytałaś.

- Wiem, że był siedzibą markiza de Montpellier, przyjaciela dworu, dla którego nie było rzeczy niemożliwych. Miał trzy żony, pięć kochanek i więcej dzieci, niż mógł zliczyć.

- Po wybuchu rewolucji wszyscy trafili na gilotynę - dokończył Marcel. - Z tego okna widać miejsce kaźni. - Wskazał Place de la Concorde, na którym kiedyś dokonywano egzekucji.

- Całe lata tam spoglądali, wyglądając przez to okno, i nie mieli pojęcia, co ich na tym placu spotka - powiedziała cicho, myśląc też o tym, że pałac stał się centrum biznesowego imperium, a człowiek, który nim kierował, był skutecznie zabezpieczony na wszystko, co może przynieść życie.

- Z szacunku dla historii część budynku pozostała w niezmienionej formie - powiedział Marcel. - Moja znajoma, która twierdzi, że posiada dar jasnowidzenia, zaklina się, że widzi tu przechadzające się duchy rodziny Montpellier.

- Zmyślasz! - zawołała rozbawiona.

- Pokoje w tym korytarzu zawsze są wynajmowane w pierwszej kolejności.

- Mieszkasz w którymś z nich?

- Nie. Jakoś mi nie służy towarzystwo zawodzących duchów.

Podczas obchodu hotelu Cassie nagrywała swe spostrzeżenia, czemu Marcel przysłuchiwał się z uznaniem.

- Chodźmy do mojego apartamentu - zaproponował. - Chyba że jesteś zmęczona.

- Nie, popracujmy jeszcze.

Zastanawiała się, jak wyglądają jego prywatne pokoje. Powinny jej sporo powiedzieć o upodobaniach i charakterze Marcela, dlatego poczuła się zawiedziona, gdyż otwarty był tylko gabinet.

- Zaraz wracam - powiedział Marcel. - Otwórz komputer i poszukaj tego wszystkiego, co cię interesuje. - Wyszedł na korytarz.

Marcel miał supernowoczesny komputer i chwilę trwało, nim się z nim oswoiła. Cassie przeskakiwała od informacji do informacji. Aż trudno uwierzyć, jak wiele jest w stanie zapamiętać. Miała fotograficzną pamięć. Niegdyś musiała to ukrywać, bo kłóciło się to z seksowną rolą słodkiej idiotki. Marcel był jedną z nielicznych osób, które znały jej możliwości.

Tak, to jest to!

Wreszcie znalazła odpowiedź na dręczące pytanie. Gdy wczoraj wymieniali się telefonami, powiedział, że mogła zapamiętać jego numer. Ledwie rzuciła okiem na karteluszek, a jednak wiedział, że to mogło wystarczyć. Bo znał jej tajemnicę, o której nikt obcy nie mógł mieć pojęcia.

- Wybitny umysł! - Ze śmiechem brał ją w ramiona. - Skąd we mnie aż tyle odwagi, by kochać się z genialną kobietą? Wielu facetów to onieśmiela.

- Ale nie ciebie, co?

- Nie, bo masz jeszcze inne zalety.

Pamiętała, jakby zdarzyło się wczoraj. I była ogromnie podekscytowana. Dotąd tylko domyślała się, że Marcel ją poznał, ale teraz była już tego pewna. Przywiózł ją tutaj, do swojego świata. Czy mogła mieć nadzieję, że wpadną sobie w ramiona i wymażą całe zło, które kiedyś się wydarzyło?

Myślała, że pragnie zemsty, lecz teraz przepełniały ją zupełnie inne uczucia. I nie mogła nad nimi zapanować. Chwila nadeszła, nie ma nad czym się zastanawiać. Oby tylko Marcel szybko przyszedł.

Na korytarzu rozległy się kroki. Za kilka minut wszystko się zmieni. Dawna fascynacja odrodziła się w niej, w nim z pewnością też. Może znowu będą szczęśliwi.

I nagle jej marzenia rozpadły się w pył. Zdarzyło się coś, co przecież powinna brać pod uwagę, a jednak beztrosko zaniedbała.

Czyli pretensje mogła mieć tylko do siebie.

TTLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rozległo się gwałtowne pukanie, usłyszała też, jak jakaś kobieta mówi:

- *Marcel, mon chéri, ouvrez le porte et me prendre dans tes bras. Oh, combien je suis heureux, que mon véritable amour est de retour.*

Na tyle znała francuski, że bez trudu zrozumiała: „Marcel, kochanie, otwórz drzwi i weź mnie w ramiona. Och, jaka jestem szczęśliwa, że mój najukochańszy już wrócił”.

Czyli wszystko jasne. Kolejna idiotyczna fantazja pękła jak bańka mydlana.

Nie może być taka naiwna, nigdy więcej!

Opanowała emocje. Podeszła do drzwi i otworzyła je, w ostatniej chwili uchylając się przed gorącym uściskiem ślicznej, seksownej, tryskającej energią młodziutkiej kobiety.

Nazwała Marcela „najukochańszym”.

- Przepraszam - przeszła na angielski. - Domyślam się, że pani Henshaw. Marcel mówił nam o pani.

- Nam?

- Mój tata, Raul Lenoir, jest prawnikiem Marcela, który wiele opowiadał nam o pani Henshaw, nowej asystentce, która dogląda jego spraw w Londynie. Miło mi panią poznać.

- Mnie również bardzo miło - wymamrotała nieszczercze.

- Nazywam się Brigitte Lenoir. Gdzie jest Marcel? Strasznie się za nim stęskniłam.

- Wyszedł przed chwilą, ale zaraz powinien tu być.

- Och, chyba idzie.

Na widok gościa Marcel rozpromienił się. Padli sobie w ramiona. Brigitte obsypywała pocałunkami jego twarz, a on śmiał się i odwzajemniał komplementy.

- Brigitte, *ma chérie, mon amante...*

Cassie wróciła do komputera, starając się nie słuchać czułych westchnień.

- Brigitte, chciałbym poznać cię z panią Henshaw - powiedział Marcel, uwalniając się z czułych objęć.

- Już się sobie przedstawiłyśmy. Jestem pod wrażeniem - oświadczyła Brigitte.

- I powinnaś. To wybitny umysł, wszyscy się jej boimy.

- Tata na pewno bardzo chciałby ją poznać. Koniecznie musicie zjeść z nami kolację.

- Nie jestem pewna... - zaczęła Cassie.

- Ale naprawdę, musicie - nalegała Brigitte.

Na samą myśl, że miałyby przez cały wieczór patrzeć na ich umizgi, wszystko się w niej wzdragało.

- Mam mnóstwo pracy...

Brigitte powiedziała coś po francusku. Cassie zdołała wychwycić tylko ogólny sens. Przekonywała Marcela, że druga kobieta się przyda, a pani Henshaw okaże się bardzo pomocna.

- Przy niej Henri nie będzie zbyt rozmowny... no przecież wiesz...

Innymi słowy, Henri nie zainteresuje się taką kobietą.

- Doceniam twoje zaangażowanie - powiedział Marcel - ale potraktuj tę kolację jako służbową. Pójdziemy do najlepszej hotelowej restauracji, jestem ciekaw twojej opinii. Idź przygotować się na wieczór.

Chce zostać tylko z Brigitte, poddać się jej uwodzicielskiemu czarowi... Idąc korytarzem, Cassie słyszała radosny śmiech dobiegający z apartamentu Marcela. Gdy przeszedł w szept, przyspieszyła kroku.

Tina już rozpakowała jej rzeczy.

- Wolałabym się położyć, ale muszę szykować się na oficjalną kolację z prawnikiem i jakimś Henrim. O co chodzi? - spytała, słysząc zduszony śmiech Tiny.

- Przepraszam, madame, ale skoro zjawi się Henri Lenoir, to na pewno nie będzie oficjalnej atmosfery. To syn prawnika i brat panny Brigitte. Ale poza tym... - Zawahała się. - To bardzo niegrzeczny pan. Podobno żona już po raz trzeci wyrzuciła go z domu.

- Bo...?

- Bo zbyt swobodnie sobie poczyna z kobietami. Przeniósł się do ojca i rodzina ma go na oku, żeby...

- Żeby znów nie poszedł na całość. Jasne.

- Jeśli będzie się dobrze zachowywać, może żona pozwoli mu wrócić.

Czyli Brigitte uznała panią Henshaw za idealną towarzyszkę dla Henriego, bo na nią się nie skusi. Ma prawo poczuć się urażona.

Gdy Tina wyszła, rzuciła się na łóżko. Czuła się boleśnie zraniona. Zwłaszcza tym jednym:

Wybitny umysł!

Tak Marcel opisał ją Brigitte, tyle że powiedział to inaczej niż kiedyś. Wtuliła twarz w poduszkę i zaniosła się łkaniem. Była w rozpacz, bez cienia nadziei. Płakała i szlochała, aż opadła z sił, aż zabrakło jej łez.

Kiedy się pozbierała, uświadomiła sobie, że Marcel nie dał jej wskazówek dotyczących kolacji. Kiedy, gdzie, jakie stroje? Zadzwoiła, ale komórkę miał wyłączoną, a telefonu w pokoju nie odbierał.

Wbiła wzrok w sufit. Znalazła się na rozstaju. Odkąd Marcel znowu pojawił się w jej życiu, cały czas była w rozterce.

- Koniec z tym - poprzysięgła sobie. - Trzeba to przeciąć, wreszcie coś zdecydować. I tak zrobię.

Kiedy Brigitte wyszła, zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

Wciąż nie mógł się otrząsnąć. Postąpił wbrew temu, co zamierzał. I nie zrobił tego, co planował.

Przywiózł tu Cassie w konkretnym celu. Niech zobaczy, co odrzuciła, jakie życie na nią czekało. Mogła opływać w luksusy, zamiast wieść jałową, skromną egzystencję.

Chciał się zemścić? Możliwe.

Jednak podczas lotu coś się zmieniło. Gdy ujrzał jej strach i bezradność, obudziły się w nim opiekuńcze uczucia i znów chciał ją chronić. Uległ słabości.

To się nie powtórzy. Zaryzykował, przywożąc ją tutaj, ale już nie ma odwrotu. Nadejdzie dzień, kiedy skonfrontuje ją ze wspomnieniami, których Cassie z determinacją unika. Odpowie za krzywdy, które mu wyrządziła.

Ale jeszcze nie jest na to gotowy.

Pod pewnym względem Cassie i pani Henshaw były jedną i tą samą osobą. Decyzje, które podejmowały, były ostateczne. I obie realizowały je konsekwentnie.

Jak na skrzydłach zbiegła do butik na tyłach hotelu. Obejrzała kilka szykownych kreacji, lecz żadnej nie wybrała. Pozostała przy obcisłych spodniach z czarnego atlasu. Tylko kobieta z wyjątkowo szczupłą figurą mogła pozwolić sobie na taki fason. Dobrała czarny jedwabny top z głębokim dekoltem i bez rękawów.

Dosyć ekstrawagancki strój. Zawahała się, lecz przypomniała sobie minę Brigitte. Nie boisz się pani Henshaw, przemówiła do niej w duchu. Zobaczymy, czy Cassie cię przestraszy. Może jednak tak? Bo mnie też zaczyna przerażać.

W salonie piękności przeszła metamorfozę. Stylistki, początkowo zaskoczone jej życzeniami, nie wierzyły własnym oczom, gdy ujrzały efekt. Długie włosy łagodnymi falami spływały na ramiona, częściowo - ale tylko częściowo - osłaniając śmiały dekolt.

W apartamencie obejrzała zakupy. Może niepotrzebnie wzięła te spodnie. Ma sukienkę nadającą się na dzisiejszy wieczór. Raczej stosowna niż rzucająca się w oczy, ale to może lepszy wybór niż taka ekstrawagancja.

Włożyła sukienkę, przymierzyła spodnie. Patrząc na swoje odbicie, biła się z myślami.

- No nie... - powiedziała do siebie. - Raczej nie mogę w tym wystąpić. Ale któregoś dnia włożę je. Po prostu muszę. Nie chcę być zawsze ubrana „stosownie”, ale dzisiaj powinnam.

Rozległo się pukanie.

- Już idę! Jeszcze moment.

- Nie! - zawołał Marcel. - Muszę zaraz z tobą porozmawiać.

Otworzyła drzwi, odruchowo chowając się za nimi, jednak i tak natychmiast zobaczył opadające kaskadą włosy. Znieruchomiał.

Omam nie krzyknęła. Marzyła, żeby ujrzeć takie spojrzenie, zobaczyć osłupienie malujące się na jego twarzy, ale dlaczego stało się to akurat teraz?

- Och... nie spodziewałem się... - wyjąkał, co w innej sytuacji wprawiłoby ją w uniesienie.

- Powiedziałeś, że nie powinnam wyglądać zbyt poważnie. Tak będzie okej?

- Ja... ja wcale... tak..., tak nie myślę.

Ostatni raz, kiedy zabrakło mu słów, zdarzył się dziewięć lat temu, gdy gospodyni nakryła ich nago na podłodze.

- Cieszę się, że ci odpowiada - powiedziała, nadal osłaniając się drzwiami. - Czy państwo Lenoir już przyszli?

- Tak. Pani Lenoir nie będzie, ale...

- Marcel, gdzie jesteś? - zawołała na korytarzu Brigitte.

- Tutaj, *chérie*.

Brigitte mówiła do niego ściszym głosem, jednak Cassie znów udało się wyłapać sens. Henri opierał się przed towarzyszeniem „Anielce, której nikt nie chciał”, i zgodził się przyjść na kolację pod warunkiem, że zaraz się ulotni. Marcel nie zdążył się odezwać, bo pojawiło się dwóch panów.

- Nie możemy się doczekać poznania znakomitej damy, którą tu przywiozłeś - oznajmił Lenoir ojciec. - Nie jest tak, Henri?

- Przez cały dzień czekałem na tę chwilę - uprzejmie, choć mało przekonująco odparł Lenoir syn.

- Gdzie ona się podziewa?

- Tutaj. - Cassie wysunęła się z za drzwi.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by upewniła się, że to, co na jego temat słyszała, było zgodne z prawdą. Przystojny, nieco gogusiowaty, ciemne, odrobinę zbyt długie jak na czterdziestolatka włosy. Bawidamek starający się zatrzymać młodość.

Jego zachowanie potwierdzało tę ocenę.

- Madame - powiedział jakby w ekstazie. - Brak mi słów, by powiedzieć, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. - Wyciągnął do niej rękę. - Cóż za wieczór nam się zapowiada!

Chciał ją objąć, lecz powstrzymała go, ujmując za rękę. Niezrażony ucałował jej dłoń i pociągnął ku sobie, dzięki czemu udało mu się wziąć ją w ramiona.

Cassie odchyliła głowę i pochwyciła spojrzenie Marcela. Dopiero teraz widział ją w całej okazałości.

Tego, co ujrziała, nigdy nie zapomni. Przez mgnienie na jego twarzy malowało się pełne zdumienia zaskoczenie i niedowierzanie. Był poruszony jak nigdy. Po chwili opamiętał się i przybrał kamienną minę.

To nieistotne. Widziała, co chciała. Spodziewał się pani Henshaw, a pojawił się duch Cassie i już nic nie będzie takie, jak było.

Ucieszyła się, że nie przebrała się w bardziej stonowany strój. Pani Henshaw jest poważna i wycofana, za to Cassie potrafi się pokazać.

Raul Lenoir chrząknął i zrobił krok w jej stronę.

- Pani Henshaw, pozwoli pani, że przedstawię mojego syna - zaczął z zakłopotaniem.

- On już sam się przedstawił - odparła rozbawiona.

- Ale pani jeszcze nie - wtrącił Henri.

- Pani Henshaw - przejęła inicjatywę Brigitte - prowadzi sprawy związane z londyńskim hotelem Marcela.

- Nie do końca - sprostowała pośpiesznie. - Nie ja tym kieruję.

- Ale Marcel powiedział, że jest pani wybitna. Tęga głowa.

- Och, co za przesada - broniła się.

- Dzięki Bogu. - Henri teatralnie odetchnął z ulgą. - Mądre kobiety przerażają mnie.

- Więc nie mnie musi się pan obawiać - zaszczebiotała.

- Musi być pani bystra, inaczej Marcel by pani nie zatrudnił - naciskała Brigitte.

- To prawda - przyznała, jakby dopiero teraz to sobie uświadomiła. - Wygląda na to, że jestem bystrzejsza, niż dotąd myślałam.

Napotkała spojrzenie Marcela. Był zmieszany, a jednocześnie zły. Zaczynała się coraz lepiej bawić.

- Chodźmy już - powiedział Raul Lenoir, odsuwając syna na bok i podając ramię Cassie. - Pani Henshaw, pozwoli pani, że ją poprowadzę?

- Cała przyjemność po mojej stronie, monsieur.

Henri zręcznie podszedł z drugiej strony i też podał jej ramię. Wyszli we troje, Marcel i Brigitte za nimi.

Stanowili imponującą grupę. Panowie w smokingach i pod krawatem, Cassie w eleganckim czarnym atłasie podkreślającym idealną figurę.

Może dlatego Marcel nie powiedział ani słowa, tylko przyglądał się jej z napięciem.

Gdy wyszli z windy i skierowali się do restauracji, zatrzymał Cassie.

- Chciałbym jeszcze omówić drobną sprawę. Idźcie, zaraz do was dołączymy. - Pociągnął ją za róg korytarza, gdzie nikt nie mógł ich widzieć. - Co ty wyrabiasz? - rzucił z furją.

- Jestem uprzejma dla ludzi, na których ci zależy.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Twój strój...

- Sam mi kazałeś.

- Ja?

- Powiedziałeś, że wyglądam zbyt poważnie, a dzisiaj poprawiłeś mi włosy, żeby...

- Nieważne - burknął.

- Myślałam, że właśnie tego chciałeś. O Boże! - Gwałtownie wypuściła powietrze, jakby nagle ją oświeciło. - Za mało, tak? Dekolt powinien być śmielszy? - Udała, że chce pociągnąć materiał w dół.

Jak się spodziewała, Marcel przytrzymał ją za rękę. Gdy instynktownie zacisnęła palce, jego dłonie dotknęły jej piersi.

Przez chwilę wyglądało, że walczy ze sobą, lecz nie potrafił się cofnąć. Oczy załśniły mu morderczym blaskiem.

- Do diabła z tobą - powiedział cicho. - Do diabła z tobą... Cassie!

Uwolnił rękę i szybko ruszył przed siebie, ona zaś oparła się o ścianę. Kotłowało się w niej tyle uczuć. Nie czuła lęku, przeciwnie. Triumfowała.

Poznał ją. Sam się przyznał, choć bardzo tego nie chciał. Oboje o tym wiedzieli. Jak na razie to ona wygrała.

Marcel stał przy wejściu do restauracji. Nie patrząc na Cassie, podał jej ramię i weszli do środka.

Reszta już na nich czekała. Uprzejme uśmiechy maskowały ciekawość. Raul Lenoir odsunął krzesło, wskazując Cassie miejsce obok siebie. Henri przebiegle też

usiadł przy niej, była więc między ojcem a synem. Przez chwilę myślała, że Marcel coś powie, lecz Brigitte pogładziła go po policzku, na co odpowiedział pośpiesznym uśmiechem.

Cassie rozejrzała się po wspaniale zaaranżowanej sali. Żyrandole zwieszały się z sufitu, złote ozdoby zdobiły ściany, do tego kryształowe kieliszki i szampan najlepszej marki.

Luksus zwykle nie robił na Cassie wrażenia, bo do niego przywykła, lecz wyrafinowana elegancja naprawdę do niej przemawiała. Z zadowoleniem sączyła szampana. Po chwili wyjęła z torebki notes i zaczęła notować.

- Co pani robi? - konspiracyjnym szeptem zapytał Henri.

- Spisuję swoje spostrzeżenia - odparła z werwą. - Po to tu jestem.

- Ależ skąd! Jest pani po to, by cudownie spędzić czas z mężczyzną, który podziwia panią jak żadną inną kobietę na świecie.

- Nie, jestem tu w pracy - sprostowała z powagą. - Pan Falcon zatrudnił mnie ze względu na moje kompetencje...

- Ach tak? Kompetencje w czym? - Znacząco przesunął wzrokiem po jej figurze.

- W sprawach biznesowych - wyjaśniła tonem strażniczki więziennej.

- Jest biznes i biznes - nie poddawał się. - Założę się, że nie chodzi mu tylko o dane i liczby.

- Panie Lenoir! - obruszyła się.

- Henri, bardzo proszę. Mam wrażenie, jakbyśmy się bardzo dobrze znali.

- Henri, szokujesz mnie!

- A dam głowę, że ciebie niełatwo zaszokować.

- Nie możesz mnie dobrze znać, skoro tak o mnie myślisz.

- Jak? - zapytał niewinnie. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Oczywiście, że masz.

- Hm, może. To niepojęte, że Marcel tak ogranicza wasze relacje, skoro masz tyle cudownych walorów. Przecież wszyscy wiedzą, że ma słabość do kobiet. - Skinął głową w jego stronę.

Spodziewała się, że spojrzy na nią, niezadowolony z zainteresowania okazywanego przez Henriego, lecz bez reszty był pochłonięty Brigitte. Wpatrywał się w nią żarliwie, jakby poza nią nic nie istniało.

Jedzenie było wyborne. Henri, który zabawiał ją rozmową, ku zaskoczeniu Cassie okazał się całkiem do rzeczy. Dużo wiedział o Paryżu i chętnie zaspokajał jej ciekawość. Tak zasłuchiwała się w jego opowieści, że nie usłyszała, gdy Marcel coś do niej powiedział.

- Przepraszam... słucham? - wybąkała.

- Polecałem wino. To wyjątkowy rocznik i specjalność tego hotelu.

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

- Nie przejmuj się nim - rzekł Henri. - Dokończę ci teraz...

- Już się nagadałeś - wszedł mu w słowo Raul Lenoir. - Może i jestem stary, ale nie na tyle, żeby nie podziwiać pięknej kobiety. - Zaśmiał się pogodnie.

Cassie uśmiechnęła się do niego i wdała się w rozmowę. Raul Lenoir był bardziej powściągliwy niż syn, jednak jego refleksje o Paryżu głównie dotyczyły miejsc kameralnych i romantycznych. Czyli nie tylko Henri był pod jej urokiem.

Orkiestra zaczęła grać i na parkiecie pojawiły się pierwsze pary. Cassie nie odmówiła, gdy Raul Lenoir poprosił ją do tańca.

Jak na swój wiek i figurę tańczył nieźle, choć szybko zorientowała się, że przede wszystkim chciał się pochwalić seksowną partnerką. Cieszyły go zawistne spojrzenia innych mężczyzn. Ze śmiechem podjęła grę, uważając, by nie posunąć się za daleko. Kiedy schodzili z parkietu, byli bardzo rozbawieni.

Henri już na nich czekał, ostentacyjnie smutny i porzucony.

- Zostałem sam - skarżył się. - Ty bawisz się z moim ojcem, Marcel i Brigitte umawiają się na schadzki...

- Pewnie tak - przyznała Cassie, przyglądając się im w tańcu.

- Więc kiedy przyjdzie moja pora?

- Właśnie przyszła. - Popatrzyła na Raula Lenoira.

- Nie obrazi się pan, jeśli opuścimy pana?

- Idźcie się zabawić, jesteście młodzi. Ja już się zmęczyłem.

Henri okazał się świetnym tancerzem, Cassie też przypomniała sobie, jak się szaleje na parkiecie. Kiedy ostatni raz cieszyła się tańcem? Poddała się szybkiemu rytmowi. Henri doskonale prowadził, idealnie się zgrali. Nagrodziły ich wesołe okrzyki i oklaski. Czy jej się wydawało, że widziała przed sobą chmurną twarz Marcela, który patrzył na nich zwięzonymi oczami? Obracała się w tańcu, lecz Marcel wciąż przed nią był. Zamrugała i wtedy zniknął. A mimo to nadal był, bo zawsze był przy niej.

Henri chciał dalej z nią tańczyć, trzech innych panów też było chętnych. Cofnęli się, gdy Marcel z morderczym wyrazem twarzy wyciągnął do niej rękę.

- Teraz mój taniec. - Mówił cicho, ale w jego tonie brzmiała groźba.

Co bardzo ją ucieszyło.

- Nie sądzę. - Prowokacyjnie popatrzyła na pozostałych panów. - Musisz poczekać na swoją kolej. - Przeciągała strunę, ale nie mogła oprzeć się pokusie.

Nagle poczuła, że Marcel przyciąga ją do siebie i mocno przyciska.

- Żaden mężczyzna nie każe mi czekać. Ani kobieta - powiedział złowrogo.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru - odpowiedziała. - Chodźmy.

Orkiestra grała wolniejszy utwór. Cassie starała się nie poddawać chwili, pozostać obojętną. Tylko w ten sposób mogła się przed nim bronić. Niestety, jego bliskość osłabiała jej wolę. Oby tylko się nie zorientował.

- Nie powinieneś tak mocno mnie obejmować. - Uśmiechnęła się z rezerwą.

- Nie próbuj mnie omamić - wyszeptał gniewnie. - Właśnie o to ci chodziło.

- Jesteś niesprawiedliwy. Miałam włożyć coś innego, ale przyszedłeś, nim zdążyłam się przebrać.

- Och, przestań. Wymyśl coś sensowniejszego.

- Dlaczego zawsze tak źle mnie oceniasz?

- Naprawdę nie znasz odpowiedzi...? *Mon dieu*, świetnie się bawisz, co?

- To nie fair.

- A kiedy prawda jest fair? Wiem, jak pracuje ta twoja przebiegła głowa...

- Jak możesz wyrażać takie kategoryczne sądy o kimś, kogo znasz dopiero od kilku dni?

Pobladł, bała się, że wybuchnie, jednak Marcel nachylił się ku niej i powiedział cicho:

- *Ne me tourmente pas ou je vais vous faire désolé. Prenez garde pendant qu'il est encore temps...*

Odetchnęła głęboko. Ostrzegał, żeby przestała go dręczyć, opamiętała się, póki czas.

- Nie dręcz mnie - powtórzył. - Ostrzegam cię... ostrzegam...

- Przed czym? Bo co się stanie?

- Poczekaj, a zobaczysz.

- A jeśli nie potrafię czekać? Może jestem niecierpliwa? Co zrobisz?

- Poczekaj, a zobaczysz - powtórzył wolno, z naciskiem.

- No to czekam - powiedziała z uśmiechem.

Przesunął dłonią po jej plecach i gwałtownie cofnął rękę.

- Wiedźma! - syknął.

- Niech ci będzie. - Znów się zaśmiała. - W końcu jesteś moim szefem. Twoje słowo jest prawem. Jestem po to, żeby słuchać poleceń. - Widziała po jego oczach, że panuje nad sobą resztką sił. Bała się, że Marcel eksploduje.

Jednak błyskawicznie się opanował.

- Dobrze, że to wiesz. Niektórych rzeczy nie będę tolerować.

- Musisz mi wyjawiać jakich - rzuciła prowokująco.

Popatrzył na nią ostro, z desperacją. Co odpowie? - zastanawiała się w duchu. Czy właśnie nastał ten moment?

Muzyka ucichła, chwila minęła.

- Później - rzucił gniewnie.

- Później - przystała.

- Ale niedługo.

- Tak, niedługo. - Popatrzyła mu w oczy. - Bo już się naczekaliśmy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaczęli schodzić z parkietu i nagle zwolnili.

- No nie! - jęknął Marcel.

Do ich stolika dosiadła się rozdrażniona koścista kobieta po trzydziestce. Siedziała obok Henriego, perorując tak, jak mogła to robić tylko żona.

- Szybko znalazłeś sobie kolejną zdzirę. Widziałam, jak tańczyliście. - Naraz jej wzrok padł na blond seksbombę idącą z Marcelem. Zmierzyła ją ostrym, pełnym pogardy wzrokiem. - O, przyszła. - Podniosła się i stanęła z Cassie twarzą w twarz. - Poderwałeś sobie następnego? Skończyłaś z moim Henrim, bo myślisz, że ten ma grubszy portfel? Ty i tobie podobne tak działacie, prawda? Byle chwycić nadzianego faceta. - Popatrzyła na Marcela. - Nie łudź się. Gdy trafi się jej ktoś z większą kasą, od razu o tobie zapomni. Pewnie nie wiesz, jak to jest być porzuconym, co? Z nią się tego dowiesz.

Cassie miała wrażenie, że powietrze wokół niej wibruje. Jak Marcel zareaguje, co odpowie? Przecież to właśnie taka sama sytuacja.

Jednak jego słowa były dla niej kompletnym zaskoczeniem.

- Dobry wieczór, pani Lenoir. Cieszę się, że widzę panią i męża razem.

- Razem? Przegonię go na cztery wiatry. Widziałam, jak z nią tańczył! Teraz niech ona go sobie zabiera.

- To nieporozumienie - chłodno powiedział Marcel. - Pani Henshaw zatańczyła z pani mężem z uprzejmości. Jest tu ze mną i życzyłbym sobie, żeby powstrzymała się pani od obrażania jej.

- Tak? A ja bym sobie życzyła...

Nie dokończyła, bo Henri zaczął odciągać ją od stolika, gorąco przepaszając. Kiedy wyszli, pozostali odetchnęli z ulgą. Raul Lenoir zapraszającym gestem wskazał Cassie miejsce obok siebie, lecz miała już dość.

- Przepraszam, ale jestem zmęczona. Pójdę się położyć. Z samego rana czeka mnie praca. Dobranoc. - Wyszła tak szybko, że Marcel nie miał kiedy zaproponować.

Zresztą pewnie by tego nie zrobił, stwierdziła w duchu. Cieszył się, że zeszła mu z oczu.

Wzięła prysznic i włożyła piżamę. Odpowiednią dla pani Henshaw - luźne spodnie i góra wysoko zapięta na guziki.

Była zbyt podminowana, by się położyć. Nerwowo krążyła po pokoju. Tyle się wydarzyło, tyle ją zaskoczyło. A najbardziej to, że Marcel stanął w jej obronie.

Naraz ktoś energicznie zapukał do drzwi.

- Kto tam?

- To ja. - Zabębnił w zamknięte drzwi. - Otwórz.

Otworzyła. Wsunął rękę, jakby spodziewał się, że Cassie je zamknie. Nie miała takiego zamiaru. Długo czekała na tę chwilę. Była przygotowana.

Wszedł tak szybko, że musiała się cofnąć. Czujnym wzrokiem omiótł pokój.

- Jestem sama - powiedziała z ironią. - Henri potulnie wyszedł z żoną. Nie przyleciał do mnie, jak może myślisz.

- Wybacz, jeśli ci nie uwierzę.

- Nie kłamię. Poza nami nikogo nie ma.

Pootwierał drzwi, zajrzał do łazienki i szafy. Zagotowało się w niej.

- Popatrz na mnie - wycodziła, wskazując płócienną piżamę. - Czy tak bym się ubrała, żeby czarować kochanka?

- Wiedząc, że zaraz to z ciebie zerwie...

- Myślisz, że Henri tak sobie roił? - drwiła. - Nic takiego nie powiedział.

- Nie musiał. I on, i wszyscy inni faceci tego chcieli. Taka jest prawda i oboje to wiemy.

- Posłuchaj...

Odwrócił się ku niej z furją.

- Nie rób ze mnie durnia!

- Już nim jesteś! - wybuchnęła. - I to jakim. Co robisz?

- Zamykam drzwi, żeby nikt nam nie przeszkodził. Skoro już dotarliśmy do tego miejsca, to mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

- Oboje mamy.

- Tak. I zbyt długo to trwało... pani Henshaw.

Celnie trafił, pomyślała.

- Jesteś pewien, że tak chcesz się do mnie zwracać?

- W ogóle tego nie chcę! Ani w ogóle cię widzieć. Myślałem, że na zawsze zniknęłaś z mojego życia, pozostawiając jedynie złe wspomnienia. Ale teraz... - Patrzył na nią gorejącym wzrokiem, emocje w nim buzowały. - To ty, prawda? - Zaklinał się, że nie zada jej tego pytania, jednak musiał. - To ty - powtórzył.

- Wiedziałeś od początku.

- Niby tak, choć nie byłem pewien... wydawało mi się niemożliwe... - Urwał, oddychając szybko. - Staralem się w to nie wierzyć.

- Nie chciałeś, żeby to było prawdą.

- Oczywiście, że nie. To idiotyzm, jak myślisz, że chciałbym się z tobą ponownie spotkać. Nadal nie rozumiem, co cię napadło, żeby mnie ścigać!

- Nie pochlebiaj sobie! - wykrzyknęła ze złością. - Wcale cię nie szukałam. Miałam się spotkać z Marcelem Falconem. Póki cię nie ujrzałam, nie miałam pojęcia, że to ty, dawny Marcel Degrande. Gdybym wiedziała, za nic bym tam nie przyjechała. Kiedy cię poznałam, uciekłam.

- Ale wróciłaś.

- Wycofałam się do ogrodu, a wrócić musiałam przez hotel. Nim zdążyłam uciec, stanąłeś w drzwiach. Nie rozumiesz? Nie chciałam cię widzieć. Za dużo... - Słowa utknęły jej w gardle.

Odwróciła się bezradnie.

- Tak - rzekł ostro. - Za dużo. - Obrócił ją ku sobie. - Nie odwracaj się tyłem. Na dziś już wystarczy tych twoich sztuczek! Naigrawanie się ze mnie sprawia ci przyjemność?

- Ja wcale...

Chciała się oswobodzić, lecz Marcel przytrzymał ją jeszcze mocniej.

- Nie kłam. Doskonale wiesz, jak na mnie działasz... Co za pokrętną satysfakcję masz z tego? Zresztą czy muszę pytać? Znowu ze mną pogrywasz, zawsze tak było...

- Nigdy tak nie było - zaprzeczyła gorąco.

- Akurat. Tylko wtedy bardziej się maskowałaś. Słodka, niewinna Cassie o wielkich oczach, zakochana po uszy. Uwierzyłem w to. I wierzyłem, póki nie odkryłem,

że jesteś bez serca. Dostałem nauczkę i nigdy jej nie zapomnę. Taka była Cassie, jaką znałem. A kim jest pani Henshaw?

- Tą kobietą, którą jestem teraz. Tak myślałam. Myślałam, że Cassie dawno umarła.

- Jednak dzisiaj się odrodziła... Pokazałaś mi, że nic się nie zmieniło. I to ci dało satysfakcję. Mam nadzieję, że cię nie zawiodłem.

- Naprawdę myślisz, że taka jest prawda? Że nic się nie zmieniło? - Po jego minie uznała, że trafiła w czuły punkt. Ponieważ nie odpowiedział, zrobiła to za niego: - Oczywiście, że nie taka jest prawda. To nie może być prawda.

- Sama powiedziałaś, że Cassie nie umarła - przypomniał chłodno.

- Ale to nie jest ta sama Cassie. Widziała rzeczy, o jakich jej się nie śniło, jakich nie chciała widzieć i których nie może zapomnieć. Jest osaczona wspomnieniami. A ty?

Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź. Chciał się uwolnić od wspomnień, lecz wiedział, że to niemożliwe.

Powracała do niego we śnie i na jawie, daremnie odpędzał te wizje. Zjadliwie drwiła, szydziła, że jest silniejsza od niego, dręczyła. Wiedział, że nie powinien jej tego powiedzieć, bo to tylko ją wzmocni, jednak nie mógł się powstrzymać:

- Odpędzam wspomnienia, ale ty zawsze przy mnie jesteś. I nie chcesz odejść. Teraz pojawiłaś się naprawdę, lecz nie jestem już naiwnym chłopakiem, nie dam sobą manipulować.

- Dlaczego tak źle o mnie myślisz?

- A nie mam powodu? Nie rzuciłaś mnie, gdy omal nie umarłem!

- Nie zostawiłam cię! Zrobiłam to dla ciebie...

- Na pewno stać cię na lepsze tłumaczenie - rzucił z pogardą.

- Mówię prawdę. Nie miałam wyboru.

- Kłamiesz, w dodatku kiepsko.

- Posłuchaj mnie! - wykrzyknęła.

- Nie, to ty mnie posłuchaj. Nienawidzę cię, Cassie. Albo pani Henshaw, kimkolwiek dzisiaj jesteś. Do końca życia będę cię nienawidzić. Jest tylko jedna sfera, do której to się nie odnosi... - Przyciągnął ją do siebie.

Wiedziała, do czego zmierza, lecz dotyk jego ust był dla niej szokiem.

- Marcel - wyszeptała.

- Przez cały wieczór mnie uwodziłaś i dopięłaś swego. Zadowolona? O to ci chodziło?

Miał rację. Tylko tego pragnęła, lecz dopiero teraz przyznała to przed sobą. Gdyby Marcel ją odrzucił, nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego mocniej, oddała pocałunek.

Nagle Marcel się cofnął, choć przyszło mu to z trudem.

- Powiedz, żebym przestał. Powiedz. Chcę to usłyszeć.

- Jak mogę? - odpowiedziała zmienionym głosem. - Nigdy ci nie rozkazywałam.

- Nie musiałaś. Zawsze robiłem, co chciałaś, choć nic nie mówiłaś.

- Zawsze uważałeś, że świetnie wiesz, czego chcę - wyszeptała, patrząc na niego przekornie.

- Nigdy się nie skarżyłaś.

- Może się ciebie bałam?

- Ty? - zapytał gwałtownie. - Bałaś się mnie?

- Może teraz się boję. Jestem w twoich rękach.

- To powiedz, żebym przestał - powiedział ponuro.

Gdy uśmiechnęła się do niego kusząco, zauważyła, jak mocno zareagował. Znowu się uśmiechnęła.

- Powiedz, żebym przestał! - wydusił z desperacją.

- Myślisz, że mogę cię powstrzymać? - wyszeptała.

- Niech cię diabli! Niech cię diabli!

Gorączkowo rozpinał guziki piżamy, z westchnieniem dotknął nagich piersi Cassie, przypadł do nich ustami. Ciepło jego oddechu budziło w niej rozkoszne dreszcze. Nawet się nie spostrzegła, kiedy znaleźli się w sypialni.

Po tylu latach znów byli razem, znów stali się jednością, znów było jak wtedy. Niczego nie zapomnieli. A potem leżeli w swoich ramionach, sycąc się łagodnym spokojem, który na nich spłynął.

Ledwie widziała zarys jego twarzy, lecz intuicyjnie czuła, że jest zmieszany. Brakowało mu słów.

Uśmiechnęła się do niego.

- Naprawdę byś przestał, gdybym ci kazała? - spytała szeptem.

- Ujmijmy to tak: cieszę się, że tego nie zrobiłaś - odparł po długiej chwili.

Czekała, że doda coś jeszcze. Przeszłość przeszłością, ale właśnie odnaleźli nową drogę do siebie. Chyba może liczyć na kilka czułych słów?

Z nadzieją przesunęła palcami po jego twarzy.

Szarpnął się, wbił w nią wzrok, a po chwili zerwał się z łóżka.

- Nie - powiedział cicho. - Nie!

- Marcel...

- Nie! - Zaśmiał się gorzko. - *Mon dieu...* Tylko popatrz, jak łatwo... Świetna robota, Cassie. Wygrałaś pierwszą bitwę. Następne będą moje, ale liczy się ta pierwsza, prawda? Powiedziałem ci, że żadna kobieta nie każe mi czekać. Cóż, sam siebie oszukiwałem. Przez te lata czekałem na ciebie... czekałem i byłem pewny, że wreszcie przyjdiesz, bo moja Cassie mnie kochała. Czekałem... czekałem...

Czyli nie tak łatwo rozprawią się z przeszłością, pomyślała. Musi mu wszystko powiedzieć, wyjaśnić, że nie miała innego wyjścia, chciała go chronić. Teraz powinno pójść lżej...

- Marcel, muszę ci coś powiedzieć...

Nie słuchał, tylko nerwowo chodził po sypialni, wyrzucając z siebie słowa:

- Kiedyś nigdy bym nie uwierzył, że mogę kogoś tak znienawidzić jak ciebie. Kochałem cię nad życie, bardziej niż... - Wzdrygnął się gwałtownie. - Nieważne...

- Naprawdę zapomniałeś, że nie tylko ty kochałeś? Ja też...

- Powiedziałem, że to nieważne! I nie mów tak! Nie kochałaś mnie, inaczej nigdy byś tak nie postąpiła.

- Nie wiesz, co zrobiłam!

- Przez tyle dni leżałem umierający w szpitalu i marzyłem, że kiedy otworzę oczy, ty będziesz przy mnie. Ale to się nigdy nie stało. Dzwoniłem do ciebie, ale wciąż miałaś

wyłączoną komórkę, a w domu nie odbierałaś telefonu. Nawet nie pomyślałaś, że coś mogło mi się stać, skoro tak nagle zniknąłem? Nie zadawałaś sobie żadnych pytań?

- Wiedziałaś, że jesteś w szpitalu, wiedziałaś, że miałeś wypadek - powiedziała cicho. - Napisałam ci o tym w liście.

- Jakim liście?

- Opisałam ci wszystko. Błagałam, żebyś nie miał do mnie żalu, nie obwiniał. Wsunęłam go pod twoje drzwi, żebyś na pewno go dostał. O Boże! Czy to znaczy...?

- Nigdy nie przeczytałem twojego listu.

- Mój Boże... Więc nie wiedziałeś, że zostałam zmuszona... że nie miałam innego wyjścia.

- Nie opowiadaj bajek, w które nawet dziecko nie uwierzy - niecierpliwie skwitował jej słowa. - Oczywiście, że miałaś wybór.

- Nie miałam, bo chciałam, żebyś żył! - zawołała. - Zagroził, że cię zabije.

- Kto?

- Jake Simpson.

- Kto to, do cholery?

- Też wcześniej o nim nie słyszałam. To oszust, który umiał się maskować. Ludzie byli mu posłuszni, oczywiście ze strachu. Wpadłam mu w oko. Odprawiłam go, zakazałam zbliżać się do siebie. Powiedziałabym ci o nim, ale miałeś wypadek. Nie, nie wypadek. Jake go zaaranżował. Pokazał mi twoje zdjęcie ze szpitala i zagroził, że umrzesz, jeśli cię nie zostawię. Ostrzegł, że jeśli odwiedzę cię w szpitalu, dowie się o tym i spotka cię następny... wypadek. - Przerwała na moment. - Nie miałam wyboru. Nie odważyłam się pójść do szpitala, ale zadreślałam się myślą, że we mnie zwątpisz. W końcu napisałam list i zniosłam do twojego mieszkania. Teraz wiem, że go nie dostałeś. Może już wyjechałeś. Och, gdybyś mógł go przeczytać! Nie moglibyśmy być razem, ale wiedziałbyś, że cię nie zdradziłam, tylko zostałam zmuszona... Może wtedy byś mnie nie nienawidził. - Patrzyła na Marcela, który stał nieruchomo jak posąg. - A może i tak byś mnie nienawidził? Przez te lata...

- Przestań - rzucił szorstko. - Nic już nie mów.

- Racja, już nic więcej nie zostało do powiedzenia. Gdybym mogła cofnąć czas, dać ci ten list, żebyś go przeczytał, to może nie byłbyś taki...

- Przestań! - wykrzyczał.

Wzięła go za rękę i pociągnęła, by usiadł obok niej na łóżku.

- Nie wiesz, czy mi wierzyć, czy nie, prawda? Wszystko nas różni z wyjątkiem jednego. Jeśli to jedyny sposób, żebyś mnie wysłuchał, to niech będzie.

- To znaczy?

- Twierdzisz, że jestem złą kobietą, chcę cię omotać, by dopiąć swego. Może i masz rację. Może znasz mnie lepiej, niż ja znam siebie. Może naprawdę jestem pozbawiona skrupułów. Może to mi się spodoba. I tobie też. - Dotykała palcami jego twarzy. Wiedziała, że ryzykuje, ale nie miała innego wyjścia. Musi go jakoś udobruchać, sprawić, by się rozluźnił, nie widział w niej wroga. - Przytul mnie - wyszeptała.

Objął ją ramieniem, opadli na łóżko. Nie chodziło tylko o seks. Nic nie mówili, bo słowa nie były potrzebne. W swoich objęciach odnajdywali to, czego wcześniej nie było - ciepło, słodycz, czułą radość.

Leżeli, trzymając się za ręce.

- Będzie dobrze - wyszeptała. - Wszystko się ułoży, najdroższy. Obiecuję.

Nie odpowiedział. Oddychał równo. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Spał.

Zawsze tak było. Kochał się z nią namiętnie, a potem zasypiał jak dziecko.

- Śpij - wyszeptała. - Śpij, a ja zajmę się wszystkim.

Uśmiechnęła się, lecz tym razem inaczej. Z triumfem.

Nim się obudziła, jeszcze na granicy jawy i snu, pamiętała ciepło ramion Marcela. Ten sen tyle razy do niej powracał. Tyle razy zasypiali razem, a potem budzili się obok siebie. Czasami, gdy otwierała oczy, widziała jego zachwycone spojrzenie. Czasami jeszcze spał, ale nawet przez sen wyciągał do niej rękę, jakby tylko przy niej odnajdywał spokój.

Otworzyła oczy.

Była sama.

Wybiegła z sypialni, zajrzała do innych pokoi. Żywej duszy. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Cisza aż dzwoniła w uszach.

Nie mogła uwierzyć. Wczoraj nawiązali porozumienie, obudziła się w nich nadzieja. Dzisiaj powinni być razem, szukać drogi do siebie. A on zniknął.

Może chciał być dyskretny? Na razie nie powinna wyciągać wniosków.

Ubrała się starannie. Cassie czy pani Henshaw? Wybrała stonowany strój, ale zostawiła rozpuszczone włosy. Marcel to odczyta. Szybko zjadła śniadanie.

Drzwi apartamentu Marcela otworzyła miła pani w średnim wieku.

- *Bonjour*. Jestem Vera, sekretarka Marcela. Prosił, żebym służyła pani pomocą.

- Czy to znaczy, że jego nie ma?

- Musiał nagle wyjechać. Nie wiem dlaczego. Sama jestem zaskoczona, bo tyle jest do zrobienia, a nawet nie powiedział, gdzie będzie.

A więc tak. Pięknie się z nią obszedł. Może powinna natychmiast, ale nie podda się bez walki. Miałby satysfakcję, gdyby po powrocie już jej tu nie zastał.

Z zaciętą miną wzięła się do pracy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Laura Degrande mieszkała w niewielkim domu na przedmieściach Paryża. Dzielnica nie była bogata, ale to jej odpowiadało. Zawsze mówiła, że życie bez bogactwa jest lepsze. Małżeństwo z Amosem Falconem nie dało jej szczęścia, jedynym pozytywnym efektem tego związku był syn Marcel. Utrzymywali ze sobą serdeczne kontakty. Marcel mógł zapewnić jej życie w luksusie, lecz z uporem się przed tym broniła. Wystarczało jej skromne wsparcie.

Rozpromieniła się, gdy stanął w progu.

- Jak miło cię widzieć! Tak się ucieszyłam, kiedy rano zadzwoniłeś. Co się stało?

Marcel uściskał ją czule, po czym powiedział:

- Muszę poszperać w moich starych rzeczach.

- Zgubiłeś coś?

- Można tak powiedzieć. Gdzie są te starocie?

- Na strychu.

Popędził na górę, gorączkowo zaczął przeglądać zawartość pudełek i toreb. Gdy Laura weszła na strych, ujrzała jego strapioną twarz.

- Czegoś tu brakuje. Duża szara koperta... nie widzę jej.

- Ach tak, były w niej strzępki papieru. Pomyślałam, że trzeba ją wyrzucić.

- Co? - Nawet nie próbował ukrywać rozpacz. - Wyrzuciłaś?

- Uspokój się. Chciałam, ale przecież wiem, że niczego nie wyrzucasz. Zostawiłam ją, jest na tej półce. Trzymaj.

- Dziękuję! - wykrztusił, prawie wrywając matce kopertę.

Laura zeszła na dół. Czowała, że dzieje się coś ważnego, a syn chce zostać sam.

Marcel otworzył kopertę. Na podłogę spłynął deszcz poszarpanych kawałeczków papieru. Zebrał je, zaniósł na stolik i zaczął układać.

Pamiętał wieczór, gdy przepelniony rozpaczą i żalem darł ten papier na strzępy.

Gdy wypisano go ze szpitala, od razu pojechał do Cassie. Miał złe przeczucia, bo jej okna były ciemne, jednak nie przestawał się do niej dobijać.

- Traci pan czas. Ona wyjechała - powiadomił go zrzędlawy sąsiad, nie kryjąc satysfakcji.

- Dokąd wyjechała?

- Ot, spakowała się i wyjechała kilka dni temu. Wsiadła do szpanerskiego samochodu. Gość, który ma taką brykę, musi być milionerem. Czyli pana skreśliła. Wreszcie przejrzała na oczy. - Na widok miny Marcela wycofał się pośpiesznie.

Nie wierzył. Rozpaczliwie walił w drzwi, ale w końcu musiał pogodzić się z prawdą. Cassie odeszła, nie oglądając się za siebie.

Nie pamiętał, jak wrócił do domu. Ostro popił, potem jechał taksówką. Wytoczył się na chodnik i dowlókł do mieszkania. Na wycieraczkę znalazł kopertę. Poznał pismo Cassie. Wezbrał w nim dziki, pijacki gniew. Jak szalony zaczął drzeć list na drobne kawałeczki.

Nazajutrz kupił bilet. Na lotnisku spostrzegł Cassie. Ubrana jak spod igły, w towarzystwie mężczyzny, od którego wręcz biło bogactwo. Wszystko stało się jasne. Naubliżał jej i opuścił Anglię.

W Paryżu schronił się u mamy. Ze zdumieniem odkrył, że zabrał ze sobą porwany na strzępy list Cassie. Nie pamiętał, żeby pakował go do torby.

Chciał definitywnie go zniszczyć, ale uznał, że zostawi go na pamiątkę. Gdy się zestarzeje, będzie mieć żonę i gromadkę dzieci, i ogromne miliony, przeczyta te jej nędzne wyjaśnienia.

I dobrze się uśmieje.

Będzie się śmiać tak donośnie, jak teraz szlocha.

Kiedy opanował łkanie, schował strzępy do koperty. Wyjeżdżając, zaniósł ją na strych, przykazując matce, żeby nie ruszała jego rzeczy.

Co jakiś czas zastanawiał się, kiedy wreszcie przeczyta ten list, szydząc z dawnej ukochanej. Teraz ten dzień nadszedł.

Pracował zawzięcie, mozolnie składając poszarpane skrawki. Ogarniało go coraz większe napięcie. Coś było nie tak. Nie, to niemożliwe. Spokojnie! Wszystko zagra.

Jednak nie mógł już dłużej karmić się złudzeniami. Popatrzył na ułożone fragmenty i uderzył pięścią w ścianę. I tłukł w nią z zapamiętaniem.

Marcel nie dał znaku życia, nie odbierał telefonu. A tak liczyła, że wszystko się zmieni! Podjęła decyzję. Wciąż czuła na sobie ciepło jego ciała, ale przecież nie powinna się łudzić. Ukarzał ją, porzucając w taki sam sposób, jak niegdyś ona jego. Dawny Marcel nigdy by tego nie zrobił, jednak ten jest inny, nie zna go.

Zadzwoiła na lotnisko i zarezerwowała bilet do Londynu. Klamka zapadła!

- Wyjeżdża pani? - zapytała Vera, która była świadkiem rozmowy.

- Tak, muszę wracać. Zechce pani przekazać to Marcelowi?

Podala jej zaklejoną kopertę. W środku była niewielka kartka papieru:

Tak będzie lepiej. Na pewno się ze mną zgodzisz.

Cassie.

Lot był za trzy godziny. Pojechała taksówką, a potem czekała na lotnisku, starając się nie wpadać w ponury nastrój. Niepotrzebnie tu przyjeżdżała, niepotrzebnie sobie uroiła, że zdoła naprawić przeszłość. Ale on się ucieszy, że ją stąd przegonił! Że wreszcie się jej pozbył!

Zaczęła się odprawa. Wstała i stanęła w kolejce. Dochodziła do bramki, gdy nagle powietrze przeszył głośny krzyk.

- Cassie!

Wszyscy obrócili głowy i popatrzyli na mężczyznę, który jak szalony zbiegał ze schodów, nie odrywając oczu od Cassie.

- Co ty wyrabiasz? - wysapał, gdy był już przy niej.

- Wracam do domu.

- Zostaniesz tutaj.

- Puść mnie.

- Nie! - Trzymał ją jeszcze mocniej. - Albo ze mną wrócisz, albo zaczniemy się tu szarpać. Co wolisz?

- Jesteś niemożliwy!

- Potrzebowałam dziesięciu lat, żeby to odkryć? Myślałem, że jesteś bystrzejsza.

Tak czy nie?

- Dobrze. Tak.

Czekała na nich limuzyna z La Couronne. Marcel wciąż trzymał ją za rękę.

- Nie musisz mnie tak trzymać. Na pewno nie wyskoczę.

- Nie zamierzam ryzykować. Znów możesz mi uciec. Dwa razy to zrobiłaś. Ale to już się nie powtórzy, zapewniam cię.

- Wyjechałam, bo jasno pokazałeś, że nie chcesz mnie widzieć.

- Czy ty zwariowałaś?

- To nie ja nagle się ulotniłam. Kiedy kobieta budzi się rano i widzi, że mężczyzna, z którym spędziła noc, przepadł, to sprawa jest jasna.

- To ty jesteś specjalistką od znikania! - rzucił gniewnie.

- Zostawiłam ci list...

- Nie mówiłem o tym, co dzieje się teraz - wyznał z bólem.

- Przepraszam. Jak rozumiem, dziś zniknąłeś w ramach rewanżu?

- Wyjechałem, bo musiałem... Nie sądziłem, że to mi zabierze tyle czasu. Kiedy wróciłem i dowiedziałem się, że przepadłaś, po prostu nie mogłem uwierzyć. Dzwoniłem do ciebie, ale miałaś wyłączoną komórkę... Jak wtedy.

- Dlaczego musiałeś tak nagle wyjechać? - spytała, głęboko poruszona jego słowami.

- Żeby przeczytać list, który napisałaś do mnie dziesięć lat temu.

- Powiedziałaś, że go nie dostałaś.

- Nie, powiedziałem, że go nie przeczytałem. Byłem tak wściekły, że porwałem go na kawałki.

- Więc jak go teraz przeczytałaś?

- Bo zachowałem te strzępki! - wybuchnął.

- I nigdy... - Wprost nie wierzyła własnym uszom. - Przez te wszystkie lata?

- Tak, Cassie, nigdy go nie przeczytałem. Ale i nie wyrzuciłem. Dzisiaj pojechałem do mamy, gdzie go zostawiłem. Poskładałem, jak mogłem, choć brakuje kilku fragmentów. Wróciłem i dowiedziałem się od Very, że wyjechałaś.

- Wpadłeś na lotnisko w ostatniej chwili - wyszeptała.

- Mam tu znajomego w ochronie. Nie zostałaabyś wpuszczona na pokład.

- Co?!

- Nie mogłem dopuścić, żebyś wyjechała. To zbyt ważne.

- A jeśli chcę wyjechać? - Mierzyli się wzrokiem. Wiedziała, że z Marcelem trudna sprawa, jest jakby opętany. Zresztą ona chyba też. - Mam ci powiedzieć, co było w tych brakujących fragmentach? - spytała.

- Jeśli pamiętasz.

- Pamiętam - wyszeptała. - Wszystko pamiętam.

Pośpiesznie weszli do La Couronne. Ledwie przestąpili próg apartamentu, Marcel zamknął drzwi na klucz. Widziała, że działa jak w transie, więc nie protestowała.

Podał jej list poskładany z porwanych na strzępy kawałków.

- Poznajesz?

- Oczywiście.

- Przeczytaj go.

Dziwnie się czuła, patrząc na słowa, które napisała przed laty, zmagając się z rozpaczą i cierpieniem. Zaczęła czytać na głos:

- Mój najdroższy, kochany Marcelu, zastanawiasz się, dlaczego nie przyszedłam do ciebie, gdy byłeś w potrzebie, ale nie miałam odwagi. To, co cię spotkało, to nie był nieszczęśliwy wypadek. Wszystko zostało zaaranżowane przez człowieka, który zawziął się na mnie. Odrzuciłam go i... - Urwała. - Tutaj brakuje fragmentu.

- Pamiętasz, co tam było?

Zamknęła oczy, cofając się pamięcią w przeszłość.

- Zostałeś mocno poturbowany. To miało mi unaocznic, co cię czeka, jeśli nie ulegnę. - Otworzyła oczy. - Dalej już jest: Nie mogłam ryzykować wizyty w szpitalu, bo on by się o tym dowiedział, a to groziło ci śmiercią. Podrzucam ten list do twojego mieszkania, bo nie mam lepszego pomysłu, jak to zrobić, żeby on o tym nie wiedział. Modłę się, żeby tak było. Nie mogę pogodzić się z myślą, że poczujesz się opuszczony i porzucony, że odeszłam od ciebie i przestałam cię kochać. - Przerwała na moment. - Znowu jest puste miejsce.

- Wiesz, co było dalej? - Gdy nie odpowiadała, powtórzył szorstko: - Wiesz?

- Tak, wiem... Nigdy nie przestanę cię kochać, aż do końca moich dni, ale to ostatni raz, kiedy mogę ci to powiedzieć. - Znów zamilkła na chwilę. - Jest tu jeszcze mój podpis, jeśli chcesz przeczytać.

- Nie muszę - odparł cicho. - Twoja Cassie, twoja na zawsze, nieważne, jak długo to „zawsze” potrwa. - Westchnął ciężko. - Pewnie już tego nie pamiętasz.

- Pamiętam każde słowo, które napisałam, również te brakujące.

- Nigdy nie przestanę cię kochać, aż do końca moich dni - powtórzył. - Na pewno to napisałaś?

- Na pewno. Ale nawet jeśli mi nie wierzysz, masz resztę listu. Wyjaśniłam, dlaczego nie mogłam do ciebie przyjść i dlaczego musiałam cię opuścić. Gdybyś wtedy przeczytał, wiedziałbyś, że wciąż cię Kocham. Och, Marcel! Tyle lat!

- Przestań - powiedział błagalnie. - Nie mogę o tym myśleć, bo zwariuję.

- A ja się dziwię, że jeszcze oboje nie zwariowaliśmy. I to wszystko było zupełnie niepotrzebne.

- Tak, gdybym wtedy przeczytał...

- Nie chodzi tylko o to. Tych dziesięciu lat mogłoby nie być z jeszcze jednego powodu... - Umilkła gwałtownie.

- O czym mówisz?

- O tym, że gdybyś był ze mną szczery, wszystko potoczyłoby się inaczej! - rzuciła z furją. Dlaczego ukryłeś, kim naprawdę jesteś, kim jest twój ojciec?

- A co to by zmieniło? - zdumiał się.

- Nie rozumiesz? Czy tylko udajesz?! Gdybym wiedziała, że jesteś synem Amosa Falcona, poprosiłabym go o pomoc. Jest wpływowym człowiekiem, dałby sobie radę z Jake'em. Wtrąciłby go do aresztu, nawet na długie lata do więzienia. Bylibyśmy bezpieczni. - Ciężko przetarła twarz dłońmi. - To by wszystko zmieniło. Wcale byś nie trafił do szpitala, ominęłyby cię te wszystkie cierpienia. Mnie by ominął koszmar małżeństwa z Jake'em. Tyle udręczeń przez twoje bezsensowne zagrywki.

Przeciągnął palcami po włosach.

- Ja tylko... nie chciałem, byś wiedziała, że pochodzę z bogatej rodziny.

- Bo podejrzewałaś, że polecę na twoje pieniądze? No tak, pięknie...

- Nie. Myślałaś, że jestem biedny, a mimo to wolałaś mnie od bogatych wielbicieli. To dla mnie tyle znaczyło...

- Tylko że zapłaciłaś za to wysoką cenę. I ja także. Mówiłaś, że mnie nienawidzisz, ale ja też mogę cię znienawidzić, bo dziecinnymi gierkami zmarnowałeś mi życie. Mój Boże, wprost nie mogę uwierzyć, tyle nieszczęścia, i zupełnie niepotrzebnie... - Nie panowała nad bólem i rozpaczą.

- Cassie! - Wyciągnął do niej rękę. - Cassie!

- Odejdź! - zawołała. - Nie dotykaj mnie! Nienawidzę cię!

Nie puścił jej, choć go odpychała. Przygarnął ją do siebie, a kiedy wtuliła się w jego ramię, wyszeptał:

- Dobrze, możesz mnie nienawidzić. Zasłużyłem na to.

- Tak... - wyszlochała.

- Jestem skończonym bałwanem, przeze mnie tyle wycierpiałaś. Nawyzywaj mnie od najgorszych. Walnij mnie, jeśli chcesz. - Odsunął się, by mogła na niego spojrzeć. - Zasłużyłem na to. Śmiało, nie będę się bronił.

Nie mogła mówić. Pokręciła głową, łzy popłynęły jej po policzkach. Marcel porwał ją w ramiona, zaniósł do sypialni i położył na miękkim łóżku.

Ułożył się obok i tulił Cassie, głaskał i mówił z czułością.

- Płacz, wypłacz się - szeptał. - Nie powstrzymuj łez.

- Tyle zmarnowanych lat... - załkała.

- Przez które mogliśmy być razem. Kochać się, być szczęśliwi, mieć dzieci. Wszystko przepadło, bo byłem zarozumiałym dupkiem.

- Nie, po prostu byłeś młody...

- Młody i głupi. Nie myślałem o innych, tylko o sobie. Nie wyobrażałem sobie, że moje idiotyczne gierki mogą komuś zaszkodzić...

- Nie bądź dla siebie taki surowy.

- Dlaczego, skoro taka jest prawda? Przez moje kretyńskie zagrywki nie poprosiłaś mojego ojca o pomoc. A nawet potem, gdybym tylko przeczytał twój list, to... *imbécyle, stupide!*

- Marcel... Marcel... - Słowa ugrzęzły jej w gardle.

- To przeze mnie - szeptał w rozpaczy. - Wszystko przeze mnie. To moja wina.

- Nie... nie... - Objęła go czule.

- Dziesięć lat. Dziesięć lat! Gdzie się podziały? Jak możemy je wrócić?

- Nie możemy. Co się stało, to się nie odstanie.

- Nie wierzę!

- Marcel, czasu nie da się cofnąć. Możemy tylko zacząć od teraz.

Nie odpowiedział. Przygarnął ją mocniej, jakby się bał, że znowu mu ucieknie.

Ona zaś myślała gorączkowo. Zacząć od teraz? I jacy my? Kim jesteś? I kim ja jestem... teraz? Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Wiedziała tylko, że nic nie będzie łatwe i proste. I że nie ma gwarancji na szczęśliwe zakończenie.

Odetchnęła, słysząc jego równy oddech. Usnął, jakby przy niej znalazł uspokojenie. Pogładziła go po włosach.

- Śpij, mój kochany. Znajdziemy jakieś wyjście. Gdybym tylko wiedziała...

Nie dokończyła, bo i ją zmorzył sen.

Kiedy się przebudziła, w pokoju było ciemno. Podświetlony zegar pokazywał, że minęła niecała godzina. Ostrożnie, by nie obudzić Marcela, odsunęła się i usiadła na brzegu łóżka. Oparła głowę na rękach. Co nam los przyniesie? - myślała. Może znajdą drogę do siebie, może przeszłość da się wyprostować. Za wcześnie to ocenić. Miała dziwne poczucie, że jest tylko zewnętrznym obserwatorem, a wszystko dzieje się obok.

Podeszła do okna, popatrzyła na migoczące w ciemności światła Paryża.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję - odpowiedziała pośpiesznie.

- Na pewno? - Marcel objął ją ramieniem. - Wyglądasz na przygnębioną. O czym myślisz?

- Trudno powiedzieć, o tym i owym. Nie mogę nadażyć za własnymi myślami.

- Ja też. Czeka nas wiele długich rozmów.

- Ale nie teraz. Czuję się jak w klatce. Muszę wyjść na świeże powietrze.

- Dobrze, przejdźmy się.

- Nie, muszę pobyć sama.

- Cassie...

- Nie zniknę, obiecuję. Niedługo wrócę.
- Jest ciemno. Wiesz, która jest godzina?
- Muszę wyjść - powiedziała twardo. - Nie zatrzymuj mnie.

Wiedziała, że przyszło mu to z trudem, jednak już dłużej nie oponował. Zbiegła na dół. Do Sekwany było blisko. Stała na brzegu, zapatrzyła się w drobne zmarszczki migoczące na wodzie. Była późna pora, lecz Paryż tętnił życiem. W oddali widniała wieża Eiffla.

Cassie odwróciła się wolno. Kilkanaście metrów dalej dostrzegła mężczyznę, który patrzył w jej stronę. Marcel. Wycofał się, kiedy zaczęła iść ku niemu. Lecz gdy się odwróciła, znów poszedł za nią.

- Marcel! Co ty wyrabiasz?

- Bałem się o ciebie. - Zmieszany wreszcie podszedł do niej. - Trzymałem się z daleka, żeby ci nie przeszkadzać. Ale zawsze będę w pogotowiu.

- Mój anioł stróż? - Trochę rozluźniona, uśmiechnęła się niepewnie.

- Pierwszy raz ktoś wziął mnie za anioła.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? No dobrze, zostań.

Zapomniała, jakim potrafił być czarusem. Teraz jej przypomniał.

- Usiądźmy. - Wskazał ławkę, wyjmując z kieszeni dwie buteleczki wina.

- Dzięki. - Usiadła i z przyjemnością upiła kilka łyków.

- Cassie, trochę za dużo jak na jeden raz?

- Wina w sam raz... Ale tak, masz rację, za dużo i za szybko.

- Było ci ciężko przez ostatnie lata. Typek, przez którego znalazłem się w szpitalu, to ten sam, z którym byłaś na lotnisku?

- Tak, to był Jake. Przez kilka dni przed wylotem „zabawiałam go”, jak to określał, w jego domu.

- Nic więcej nie tłumacz - wydusił przez zęby.

- Polecieliśmy do Ameryki. Jake obsesyjnie wypytywał, czy na pewno się z tobą nie widziałam. Przysięgam, że nie. Uwierzył, bo powiedział, że gdybyś znał prawdę, nie nazwałbyś mnie „dziwką”. Byłam w rozterce. Myślałam, że przeczytałeś mój list i tylko udawałeś, albo że jeszcze nie byłeś w domu, więc nic nie wiesz. Ale zgodziłam się z

Jake'em. Z nim zawsze trzeba było się zgadzać. Wiesz, rozbił moją komórkę, by nikt nie mógł się ze mną skontaktować.

- Więził cię? - spytał z grozą. - Cierpiałas, a ja ci nie pomogłem.

- Niby jak? Choć prawdę mówiąc, przez jakiś czas miałam taką nadzieję, aż wreszcie uznałam, że pogodziłeś się z naszym rozstaniem i z nami koniec. Więc wysłałam za niego.

- Wyszłaś... wysłałaś za niego?!

- Tak. Czulałam się tak, jakby moje życie się skończyło, stałam się bezwolna, poddałam się, lecz trwało to tylko jakiś czas. Kiedy odkryłam, że Jake mnie zdradza, zyskałam pretekst do rozwodu i dopięłam swego. Już nie bałam się Jake'a. Wzięłam od niego tylko niewielką kwotę, którą przekazałam rodzinie, bo niczego nie chciałam od Jake'a, nawet nazwiska. Przyjęłam panięskie nazwisko mamy i stałam się panią Henshaw.

- Co się dzieje z tym Jake'em? Zostawił cię w spokoju?

- Jest w więzieniu, mam nadzieję, że posiedzi jeszcze kilka lat. Skończyłam studia i zaczęłam nowe życie. - Uniosła butelkę do księżycy. - Nie ma jak niezależność. Zdrowie!

- Niezależność czy izolacja?

- Czy to ma znaczenie? A najważniejsza zasada, to liczyć tylko na siebie.

- Pewnie tak... - Cieszył się, że w ciemności nie mogła dobrze go widzieć, wychwycić, o czym myśli. Co wspomina.

Cassie wróciła do domu po ciężkim dniu i padła Marcelowi w ramiona.

- Co bym bez ciebie poczęła? - skarżyła się. - Ten wstrętny fotograf... Boże, co za paskudny facet! Och, nieważne. Ze wszystkim dam sobie radę, bo mam ciebie...

- I zawsze tak będzie - zapewnił, a trzy tygodnie później nadeszła katastrofa.

- Masz rację - powiedział teraz. - Lepiej liczyć na siebie, niż na idiotę, którego bawiło to, że ukrywał swoje pochodzenie, a w rezultacie oboje przeżyliśmy dramat.

- To nie była aluzja do ciebie. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Kto mógłby przewidzieć, że na naszej drodze stanie ktoś taki jak Jake?

- Gdybyś coś przeczuwała, od razu byś dała nogę. Kiedyś tak powiedziałaś. - Czekał na odpowiedź, lecz na próżno. - Jak długo jesteś po rozwodzie?

- Ponad pięć lat. Od tamtej pory jestem panią Henshaw i podbijam świat finansów. To mi odpowiada. Pamiętasz, jak żartowałeś z mojego „wybitnego umysłu”?

- To nie był żart. Wzbudzałaś mój podziw, nawet trochę ci zazdrościłem. Raz coś przeczytasz i wszystko pamiętasz. Niesamowite.

- Mówiłam ci, że mam predyspozycje na bizneswoman.

- Masz więcej możliwości. Czemu nie wróciłaś do zawodu? Nadal jesteś piękna.

- Raczej nie.

- Jesteś - rzekł z mocą.

- Nie będę się spierać, ale uroda to nie wszystko, trzeba mieć w sobie to coś. Ja to straciłam. Wiem o tym. Już wtedy wiedziałam. Patrzyłam na swoje odbicie i widziałam, że to już nie ta sama Cassie. Poza tym - dodała szybko, nie dopuszczając go do głosu - chciałam spróbować czegoś nowego. To był mój wybór. Życie idzie naprzód, my też nie stoimy w miejscu. - Zadumała się na moment. - Wiesz, Cassie i pani Henshaw to dwie różne osoby. Pani Henshaw całkiem mi się podoba. Swoim wyglądem, sposobem bycia i absolutnie chłodną, profesjonalną postawą zaskakuje wiele osób, niektórzy nawet się jej boją.

- I to ci odpowiada?

- Może nie zawsze, ale się przydaje. Pani Henshaw to bystra kobieta, ma mnóstwo zdrowego rozsądku.

- Teraz ja zaczynam się bać.

- To dobrze.

- Czyli mam przyzwycząić się do pani Henshaw, choć zdecydowanie wolałbym Cassie?

- To raczej złe podejście. Pani Henshaw ma zorganizować ci hotel. Potrzebujesz jej doświadczenia i „wybitnego umysłu”. Cassie by się do tego nie nadała. - Starła się mówić żartobliwym tonem, jednak oboje wiedzieli, że pod tymi słowami kryło się subtelne ostrzeżenie: Powoli, niczego nie przyspieszaj, jeden fałszywy krok i będzie katastrofa. - Marcel, powinniśmy już wracać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tę noc spędziła sama. Marcel odprowadził Cassie do drzwi, pocałował i pośpiesznie odszedł. Uśmiechnęła się, odprowadzając go wzrokiem. Cieszyła się, że okazał się taki subtelny, niczego nie próbował.

Po tym, co zaszło, miała problem z wyborem stroju. Ostatecznie zdecydowała się na nobliwy, choć nie aż tak surowy. Włosy odgarnęła w tył, by tylko okalały twarz. Gdy weszła do gabinetu, Marcel rozmawiał przez telefon. Machnął do niej, lecz nie przerwał rozmowy. Mówił po francusku. Rzucił słuchawką i prychnął ze złością.

- Ktoś się nie spisał? - zapytała Cassie.

- Tak, i narobił niezłego bałaganu. Muszę jechać i wszystko odkręcać. To zajmie kilka dni. Chodź. - Przygarnął ją mocno. - Nie chcę cię zostawiać. Pojedź ze mną i...

- Nie - odparła stanowczo. - Tylko bym cię rozpraszała, a musisz skoncentrować się na pracy.

- Zaplanowałem dla nas piękny dzień. Chciałem pokazać ci Paryż...

- Gdy wrócisz, Paryż nadal tu będzie. Ja też.

- Słowo honoru?

- Już ci powiedziałam, że nie mam powodu, by wyjeżdżać.

- Okej... - Mimo to od progu zerknął na nią z niepokojem.

Też żałowała, że Marcel musi wyjechać, choć zarazem czuła ulgę. Jego zaborczość była dla niej jak wyrzut. Nie mogła go za to winić, jednak przeczuwała, że to będzie poważny problem, którego on nie widzi.

Targały nią wątpliwości. Nie była tą samą Cassie, którą Marcel pamiętał. Nie chodziło tylko o upływ czasu. Cassie i pani Henshaw egzystowały obok siebie, w odpowiednich momentach przejmując inicjatywę. Która z nich okaże się tą prawdziwą? Nawet ona tego nie wiedziała.

Wspomniała o tym wczoraj wieczorem, lecz Marcel nie do końca chwycił. A może nie chciał... To była niepokojąca myśl.

Przez następne dni istniała tylko i wyłącznie pani Henshaw. Pracownicy byli pod wrażeniem jej wiedzy i kompetencji. Podobnie fachowcy z firmy budowlanej, którzy przedstawili zakres prac przeprowadzonych w La Couronne, co pomogło jej do końca zrozumieć zamysły Marcela dotyczące londyńskiego hotelu. Miała coraz wyraźniejszy obraz całości. Czekala do czwartku, kiedy opowie o swoich przemyśleniach.

Marcel dzwonił kilka razy dziennie. Nie od razu uświadomiła sobie, że w ten sposób najpewniej ją sprawdza. Tylko raz zadzwonił na komórkę, akurat gdy była na zakupach. Rozmawiał wesoło, jednak w jego głosie wyczuła skrywane napięcie. Zwłaszcza gdy na koniec dodał:

- Nie bądź długo na mieście, bo w hotelu jest masa roboty.

Vera wyjawiała, że szef strasznie się zdenerwował, gdy zadzwonił, a Cassie nie było. Nie miała o to pretensji. Bał się, że znowu zniknie, niemniej modliła się w duchu, by ochłonął z czasem.

Pracownicy, którzy oczywiście już wiedzieli, jak uprzywilejowaną pozycję zajmuje, traktowali ją w zgodny do tego sposób. W środowy wieczór szef kuchni i kelner przysiedli się do jej stolika, namawiając do skosztowania nowych dań. Odnosili się do niej z szacunkiem i uznaniem, podzielili się też swoimi uwagami o „mieście miłości”, jak określali Paryż.

- Za dużo pani pracuje - mówił szef kuchni. - Proszę wyjść na miasto, pooddychać magiczną atmosferą. Wtedy zrozumie pani, co trzeba zrobić w Londynie.

- Trudna sprawa - odparła z żalem. - W Londynie nie ma tego romantycznego ducha.

Dawno temu Marcel szeptał do niej w nocy:

- Zabiorę cię do Paryża, pokażę ci moje miasto. Będziemy chodzić po ulicach, oddychać atmosferą miłości.

- Mówisz, jakbyś czytał z przewodnika.

- Bo to cytat z przewodnika - przyznał z zażenowaniem, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

Nigdy nie zabrał mnie do Paryża, pomyślała ze smutkiem. A mogło być tak pięknie. Nagle ujrzała go tuż przed sobą, roześmianego jak przed laty.

- O, pan Falcon! - zawołał kelner. - Miło pana widzieć.

Zamrugnęła. Czyżby jej sen się ziścił? Nie, to nie sen. On naprawdę tu jest.

- Dobry wieczór! Nie muszę pytać, czy za mną tęskniłaś. Widzę, że wcale nie.

- Tak się mną zajmowano, że nawet nie zauważyłam twojej nieobecności - droczyła się.

Pracownicy pożegnali się uprzejmie i odeszli.

- Chodź ze mną. - Marcel odciągnął ją od stolika.

- Ale kucharz tak się napracował... - Wyczuła, że jej nie słucha. Niby się uśmiechał, ale tak naprawdę był bardzo poważny. Gdy już siedzieli w taksówce, powiedziała: - Miałaś przyjechać dopiero jutro.

- Przepraszam, jeśli cię rozczarowałem. Mam zniknąć?

- Nie, jakoś z tobą wytrzymam. Hej, co robisz? - zawołała, bo porwał ją w ramiona. Znów był tamtym Marcelem sprzed lat. Może to tylko złudzenie? A nawet jeśli, to co w tym złego? - Dokąd jedziemy? - zapytała, gdy odzyskała oddech.

- Pozwiedzać miasto. Patrz.

Sunęli wzdłuż Sekwany, przejechali most, zatrzymali się w pobliżu wieży Eiffla i pomknęli windą do restauracji. Zajęli stolik przy oknie. W dole jaśniały światła Paryża.

- Jak pięknie - wyszeptała.

- Marzyliśmy, żeby tu przyjść. Pamiętasz?

- Pamiętam. - W ciszy kontemlowała cudowny widok, wreszcie powiedziała: - Zawsze chciałam przyjechać do Paryża. Miałam nadzieję, że kiedyś to się stanie, może przy następnym zleceniu, lecz nic z tego nie wyszło.

- Więc teraz ja ci pokażę to miasto, zgodnie z obietnicą.

- I wszystkie paryżanki będą mi zazdrościć, że zainteresował się mną sam Marcel Falcon, znany kobieciarz.

- Bzdura!

- Wcale nie! - Zachichotała. - Internet prawdę ci powie. No i poczytałam o Josie, Leyli, Myrze, Ginette i... kto był potem? Zaraz, zaraz...

- Skończyłaś? - wymamrotał posepnie. - Co byś o mnie pomyślała, gdybym nikogo nie miał?

- Że jesteś cnotliwym nudziarzem. Oczywiście, że miałeś kobiety, i to niemało. Tak być powinno.

- Hm... Mówisz tak samo jak mój szanowny ojciec.

- Nie zabrzmiało to jak komplement. Widziałam Amosa Falcona tylko przelotnie, byłeś przy nim spięty. Nie lubisz go?

- Czasami nie cierpię, czasami podziwiam.

- Nie kochasz?

- Ma to w nosie. Zależy mu tylko na manipulowaniu ludźmi. Mają spełniać jego zachcianki. - Widząc jej uśmiech, zacisnął zęby. - No dobra! Mów.

- Ty też lubisz stawiać na swoim. I nie zawsze w sposób subtelny.

- Cóż, poszedłem w ślady ojca. Wiele razy to słyszałem.

- Miałeś z nim na pieńku, gdy mieszkałeś w Londynie?

- Brzydziło mnie wszystko, co się z nim wiązało. Stosunek do ludzi, styl życia, parcie po trupach do celu. Jako dziecko rzadko go widywałem, często wyjeżdżał. Myślałem, że taką ma pracę. Nagle okazało się, że ma rodzinę w Londynie. Gdy żona dowiedziała się o mnie i mojej mamie, rozwiodła się z Amosem i wyprowadziła się, zabierając Dariusa i Jacksona.

- Tak... - Słyszała już o tym od Frei, teraz poznawała jego wersję.

- Moja mama wyszła za Amosa i przenieśliśmy się do Anglii. Kilka lat później umarła jego pierwsza żona, a Darius i Jackson zamieszkali z nami.

- Domyślałam się, że to nie był komfortowy układ.

- Nie narzekam. Świetnie dogadywaliśmy się z Dariusem. Obaj mieliśmy buntownicze natury, konspirowaliśmy przeciwko ojcu, w razie potrzeby jeden drugiego krył. - Zadumał się. - Oczywiście wielki Amos szybko wrócił do dawnych przyzwyczajzeń. Liczył, że moja mama to przełknie, bo przecież miał tyle pieniędzy, że mógł robić, co tylko zapragnął.

- To mogło cię na zawsze zniechęcić do pieniędzy.

- On i wszystko, co się z nim wiązało, budziło we mnie niechęć. Wyszło na jaw, że ma jeszcze dwóch synów, Trávisa w Stanach i Leonida w Rosji. Mama często płakała. Wtedy nienawidziłem ojca. Byłem jego synem, ale nie chciałem być taki jak on. Gdy

mama rozwiodła się z Amosem, wróciliśmy do Paryża. Staralem się o nim zapomnieć, lecz był uparty. Uważał mnie za swoją własność. Chciał, żebym poszedł w jego ślady. Opierałem się, ale znał mnie lepiej - stwierdził cierpko. - Osiadłem w Londynie, wyrzekłem się jego nazwiska, odciąłem się od niego, a kiedy świat mi się zawalił, pojechałem do mamy. Wmawiałem sobie, że mam przed sobą przyszłość, że nic mnie nie determinuje. - Zadumał się na moment. - W końcu musiałem zmierzyć się z rzeczywistością. Moja droga prowadziła do Amosa. Zadzwoiłem do jego rezydencji w Monte Carlo, gdzie mieszkał ze względów podatkowych. Podszkolił mnie. Naukę zaliczyłem celująco.

- Myślę, że jednak nie do końca jesteś taki jak on.

- Może. Sam już nie wiem. Wtedy tak myślałem. Nic więcej mi nie pozostało. Skupiłem się na robieniu pieniędzy, by nie zastanawiać się nad tym, co straciłem.

- Pomogło?

- Nie, choć nie przyznawałem się do tego. Wciąż powtarzałem, że to twoja wina. Wszystko złe, co mnie spotykało, przypisywałem tobie. To był jedyny sposób... - Zacisnął palce na kieliszku.

- Ostrożnie, zaraz pęknie.

- Gdybyś tylko wiedziała...

- Wiem. Mnie też nie było lekko, ale nie cierpiałam jak ty. Tęskniłam za tobą, rozpaczałam, ale nigdy nie zadreślałam się myślą, że mnie zdradziłeś.

- Nawet po tym, jak nazwałem cię na lotnisku? Nie zdradziłem cię, drąc twój list?

- Marcel, przestań! - Ujęła jego rękę. - Nie wpadaj w obsesję.

- Obsesję? Przecież to wszystko moja wina! Przeze mnie straciliśmy dziesięć lat, tyle wycierpieliśmy. Dlaczego mnie nie oskarżasz? Dlaczego mnie nie nienawidzisz?

- Poczulbyś się lepiej? - spytała cicho. - Mam cię walnąć i powiedzieć, że teraz jesteśmy kwita?

- Właśnie to powinnaś zrobić.

- Nigdy nie robię tego, co powinnam. Powiedziałaś mi to setki razy. Nigdy cię nie nienawidziłam, a jeśli ma z tego wyniknąć coś dobrego, to to, że przestaniesz mnie nienawidzić.

- Jeśli ma wyniknąć coś dobrego...? - powtórzył z naciskiem. - Wątpisz w to?

- Chcę wierzyć, że tak będzie, ale nic nie jest przesądzone. Jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi.

- Ty dla mnie nigdy.

- Miło słyszeć, ale prawda jest inna. Pamiętamy siebie sprzed lat, lecz zmieniliśmy się. Musimy na nowo się poznać, zanim...

- Zanim się pokochamy? Nie chcesz tego? - Patrzył na nią w napięciu.

- Nie wiem... - Umknęła wzrokiem. - I boję się. - Znow wzięła go za rękę. - Potrzebuję przyjaciela.

- Przyjaciela...

- Kogoś, kto zrozumie rzeczy niepojęte dla innych. Zostań moim przyjacielem. Na początek, a potem, jeśli będziemy cierpliwi... i poszczęści się nam...

- Naprawdę wiesz, co mówisz? Nie potrafisz mnie pokochać, nie chcesz mojej miłości...

- Nie, to nie tak! Ale boję się. Ty nie?

- Wcześniej się nie bałem. Teraz tak. Myślałem, że tamtej nocy...

- Tamtej nocy odnaleźliśmy się na nowo, ale tylko w jednej sferze. I było cudownie - dodała z uśmiechem.

- Ale to za mało.

- Tobie to wystarcza? Kładziesz się ze mną do łóżka i już się nie zastanawiasz, czy naprawdę możesz mi ufać? I tak już ci zostanie? - Nie odpowiedział. Widziała, jak bardzo jest przejęty i poruszony. Uznała, że na dziś wystarczy drażliwych spraw. - Wyjrzę jeszcze raz. - Podeszła do okna. - Nigdy nie widziałam tak pięknego widoku.

Resztę wieczoru przegadali na obojętne tematy. Choć z radością by się otworzyła przed Marcelem, na zawsze odepchnęła przeszłość i zapewniła, że wszystko będzie dobrze, wciąż zbyt wiele było w niej obaw.

Wrócili do hotelu. Marcel odprowadził Cassie do pokoju. Widziała po jego oczach, że bije się z myślami, jednak szybko się pożegnał i odszedł.

Przez następne tygodnie kilka razy wyjeżdżał, a kiedy wracał, spędzali razem wieczory. Marcel zachowywał dystans. Czy usłuchał jej, czy może sam tak postanowił? Nie potrafiła tego ustalić. I sama już nie wiedziała, czego chce.

Któregoś popołudnia prawie się pokłócili. Powód nie był istotny, po prostu oboje byli na granicy.

- Niepotrzebnie przyjąłem tę pracę - oznajmiła. - Zakończmy to. Wrócę do Londynu i więcej się nie spotkamy.

- Myślisz, że się zgodzę?

- Nie zatrzymasz mnie.

- Zatrzymam. Nie zostawisz mnie, Cassie. Nie ma mowy.

- Przestań! Jake tak do mnie mówił. Nie cierpię, gdy zachowujesz się jak on!

- Często tak robisz? - Wlepił w nią wzrok.

- Czasami. Jake uważał mnie za swoją własność.

- Myślisz, że ja też?

- Nie, ale...

- Naprawdę nie rozumiesz, czego się boję? Że nagle znikniesz! To jest silniejsze ode mnie. Gdy tylko tracę cię z oczu, wpadam w panikę, że już cię nie zobaczę. Jesteś w moich snach, ale i w koszmarach.

- To może powinniśmy się rozstać i przestać o sobie myśleć.

- Nigdy się na to nie zdobędę, nawet gdybym dzięki temu odzyskał spokój. Nie szczęście, a spokój. Jednak to niemożliwe.

- Wiem. Też mam takie myśli. - Obudziła się w niej nadzieja.

Może szczerze porozmawiają, odnajdą do siebie drogę...

Jednak Marcel znowu wbił oczy w ekran komputera. Trudno. Jeszcze nadarzy się okazja.

Nazajutrz oznajmił, że muszą na kilka dni pojechać do Londynu. Poprosił Verę, by zamówiła bilety na pociąg. Cassie wiedziała, dlaczego to zrobił, i serce w niej stopniało. Sama zarezerwowała pokoje. Oddzielne.

- Trzeba dbać o twoją reputację, będziesz tam szefem - wyjaśniła, widząc jego minę.

- Ale nie życzę sobie pani Henshaw. Nie jest w moim stylu.
- To czemu ją zatrudniłeś?
- Bo to tylko maska. A ja chcę tej prawdziwej, która się za nią chowa.
- Ale to pani Henshaw jest biegła w finansach.
- Czyli mamy problem!

Ktoś wszedł do gabinetu i na tym rozmowa się zakończyła, jednak dała Cassie sporo do myślenia.

W Londynie mieli masę roboty. Marcel dwoił się i troił, by dograć inwestycję, Cassie też nie wiedziała, gdzie ręce włożyć.

- Chodźmy na kolację - po ciężkim dniu zaproponował Marcel.
- Spróbuję jakoś poprawić ci humor.
- Pani to się na pewno nie uda. Ale Cassie tak.
- Hm, zobaczę, czy ma wolny wieczór.

Rozpuściła włosy.

Kiedy spotkali się przed kolacją, Marcel z aprobatą skinął głową.

- Jakoś ujdę? - przekomarzała się.
- Ty i owszem, ale dłużej tak nie pociągniemy. Gubię się, często nie wiem, kiedy jesteś Cassie, a kiedy panią Henshaw, niezależnie od tego, jak akurat wyglądasz.

- Funkcjonuję w dwóch postaciach. To może sprawiać kłopot.

- Może?

- Niepokoi cię, że słodka Cassie potrafi być bystra? Kiedyś o tym wiedziałeś.

- To prawda, ale nie przypuszczałem, że objawi się pani Henshaw, a ona trochę mnie przeraża.

W tym duchu przegadali wieczór. Miała mieszane uczucia. Ze względu na nią przyjechali pociągiem, zarazem jednak Marcel odrzucał panią Henshaw, czyli część jej natury. Co z tego się wyklaruje?

Czuła się wykończona. Pracowała non stop, padała z nóg. Gdy wypila kolejny kieliszek wina, dotarło do niej, że popełniła błąd. Zaszumiało jej w głowie.

- Pójdę spać - oznajmiła.

Marcel odprowadził ją do pokoju, po czym spytał:

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Jestem tylko zmęczona.

- No to dobranoc. - Dotknął ustami jej ust.

Zawirowało jej w głowie. Całował ją inaczej niż poprzednio, delikatnie i czule.

- Cassie... - błagał. - Cassie, nie odtrącaj mnie, proszę...

- Ja... nie chciałam... - wyszeptała, walcząc z sennością.

- Pocałuj mnie. Tak długo na to czekałem... Proszę pocałuj mnie.

Czuła pod sobą miękki materac, czuła palce Marcela rozpinające jej suknię. I czuła się tak senna, bezradna. Marcel może zrobić, co mu się tylko zamarzy, jednak nie chciała, żeby w taki sposób to się stało. Pragnęła zespolenia nie tylko ciała, ale serca.

- Cassie... Cassie?

- Marcel - wyszeptała, otwierając oczy.

- Jesteś zupełnie trzeźwa? - Przyglądał się jej uważnie.

- Chyba nie... Nie powinnam...

Zachmurzył się, gdy ona czekała z nadzieją.

- Dobranoc. - Okrył ją kołdrą i ruszył do drzwi.

- Wychodzisz?

- Oczywiście. Naprawdę myślisz, że... Przecież nie wiesz, co się dzieje. Piękne masz o mnie zdanie. Dobranoc.

- Marcel...

Zatrzasnął drzwi. Nawet nie usłyszała jego oddalających się kroków. Już spała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz powiedział na powitanie, unikając jej wzroku:

- Jeszcze jeden dzień i wracamy do Paryża. Trzeba przejrzeć te papiery...

Rozbawił ją. Wczoraj zachował się jak dżentelmen, lecz w głębi duszy się tego wstydził.

Gdy omawiali czekającą ich służbową kolację, Cassie przyrzekła solennie:

- Nie tknę nic mocniejszego niż sok pomarańczowy.

- A potem?

- Będę w pełni rozbudzona i świadoma tego, co robię. - Dała mu buziaka i wyszła, widząc, że Marcel po prostu oniemiał.

Ubrała się starannie. Surowa w swej prostocie, a jednocześnie uwodzicielska sukienka, włosy luźno ściągnięte na plecy. Zrobiła furorę. Za to Marcel był wyjątkowo roztrzępany. Nie mógł się skupić na interesach, bo przez cały wieczór nie odrywał od niej oczu.

Po kolacji poszli do jego apartamentu. Cassie rozpuściła włosy.

- Uważaj - zamruczał Marcel. - Zarozumiały facet może to różnie odczytać.

- Wolę zarozumialców niż mało rozgarniętych. - Zarzuciła mu ręce na szyję. -

Kiedy się domyślisz?

- Już teraz. - Chwytał ją i pociągnął do środka.

Znów byli razem i znów odkrywali to, co już uznali za bezpowrotnie stracone. Tym razem nie byli spięci, jak poprzednio. Każdy dotyk Marcela uszczęśliwiał ją, wyraz jego oczu nappełniał błogą radością. Był uważny, oddany jej i cudownie czuły.

Czułość i chyba coś jeszcze. Miłość? Czy odważy się mieć taką nadzieję?

Tuląc go do siebie, modliła się, by tak było, by zdarzył się cud.

- Wszystko dobrze? - wyszeptał Marcel.

- Tak - odpowiedziała wolno. - Bardzo dobrze.

Kolejne godziny były jak piękny sen, który naprawdę się spełniał. I dawał nadzieję, że wszystko wreszcie się ułoży.

Nazajutrz wrócili do Paryża i znów pochłonęła ich praca. Ale oboje czuli, że nadchodzą dla nich dobre czasy.

Cassie obiecała sobie, że wkrótce otworzy się przed Marcelem. Nie musi się śpieszyć, poczeka na właściwą chwilę. Mają czas.

Już nie pytał, czy może do niej przyjść. Wiedział, że nie musi. Cieszyli się sobą, zasypiali w swoich ramionach.

Kiedy się przebudziła, przyglądał się jej. Wtedy uznała, że nastał ten czas i zaczęła:

- Marcel...

- Tak, Cassie?

Wiedziała już, że to najlepszy moment... i zadzwoniła komórka Marcela.

Zaklął i sięgnął po telefon. Cassie z jękiem zamknęła oczy.

- Tak? - Nagle twarz mu się zmieniła. - Freya! Co się stało? Jesteś zdenerwowana, uspokój się. Co takiego? Co mu strzeliło do głowy? No nie, nie wierzę. - Rozłączył się i wzburzony powiedział do Cassie: - Cholera, mój ojciec znów się nakręcił. Jedzie tu. Nie wyszło mu z Dariusem, więc ze mnie chce zrobić męża Frei.

- A niech to - mruknęła.

Właśnie teraz! Cóż, chwila minęła.

- Musisz nam pomóc, Cassie. Co za absurdalna sytuacja! Lubimy się z Freyą, ale o czymkolwiek innym nie ma nawet mowy. Dlaczego ojciec nie da jej spokoju? Zamierza z nią swatać po kolei wszystkich synów?

- Freya była dla mnie bardzo miła, więc zrobię, co mogę. Jaki masz pomysł?

- Pójdziemy na kolację i będziemy zachowywać się jak para. To go powinno ostudzić.

Wyskoczył z łóżka. Cassie westchnęła. Cóż, musi poczekać, ale ich czas przyjdzie.

Amos i Freya zjawili się dwie godziny później.

- Myślałem, że będziesz w Londynie, ale pewnie ta twoja znakomita asystentka, pani Henshaw, ma na wszystko oko - powiedział Amos.

- Rzeczywiście jest świetna. Przywiozłem ją tutaj, żeby zapoznała się z La Couronne i wyczuła, o co mi chodzi. Spotkamy się z nią dzisiaj na kolacji.

- Nie ma potrzeby jej zapraszać. Nie mam ochoty gadać o interesach.

- Ale ja mam ochotę ją zobaczyć - wtrąciła Freya. - Bardzo ją polubiłam.

- Ona też chce się z tobą spotkać - zapewnił Marcel. - Idź do niej, poplotkujecie sobie.

Cassie dopiero teraz mogła przyjrzeć się Frei dokładniej. Atrakcyjna, przed trzydziestką, szczupła i pełna życia, o niemal kasztanowych włosach, zielonych oczach i zawadiackim uśmiechu. Przy herbacie świetnie im się rozmawiało.

- Cieszę się, że przyjechałaś tę posadę - rzekła Freya. - Marcel bał się, że się nie zgodzisz.

- Myślał, że odmówię?

- Tego nie wiem, ale bardzo mu na tym zależało. Musiał dużo słyszeć o twoich kwalifikacjach.

- Pewnie tak.

- Powiedział, że zjemy razem kolację. Super.

- Amos Falcon chyba próbuje was spiknąć - zagadnęła ostrożnie Cassie.

- Zgadłaś. Może jeszcze nie całkiem skreślił Dariusa, ale...

- Ale jest otwarty na wszystkie możliwości?

- No właśnie. Wiesz, po co przyjechał? Pomóc Marcelowi w zdobyciu dodatkowych funduszy na londyński hotel. Ktoś jest mu coś winny, a w umowie jest luka prawna. Amos chce przycisnąć wierzyciela i wydusić pieniądze.

- Mało przyjemny facet.

- Zawsze sądził, że Darius będzie taki jak on, a zaraz potem Marcel. Czy ktoś chciałby kogoś takiego na męża?

- Nikt przy zdrowych zmysłach.

Zadzwoił telefon. Marcel potrzebował jakichś dokumentów. Cassie szybko je odszukała i zaniósła do pokoju Amosa. Zatrzymała się, słysząc podniesione głosy, a po chwili na korytarz wybiegł młody mężczyzna.

- Niech cię szlag trafi! - krzyczał bardzo zdenerwowany. - Obyś smażył się w piekle!

Gdy cofnęła się, by uniknąć kolizji, z pokoju usłyszała Marcela:

- Niepotrzebnie tak go dociskałeś!

- Zawsze wiem, co robię. Inaczej daleko bym nie zaszedł.
- Czasy się zmieniły. Subtelnością więcej można działać.
- Bzdury! Czy on ma kasę, czy nie?
- Twierdzi, że nie. Dlatego nie można go cisnąć.
- Kiedy wreszcie przestaniesz być taki łatwowierny? Zostaw go mnie, ja to załatwię.

Wycofała się. Marcel postawił się ojcu, jednak szkoda, że nie do końca. W sumie był taki jak Amos, ważne były tylko pieniądze.

Jak dobrze, że rano nie otworzyła serca przed Marcelem.

Podczas kolacji Amos był dla niej bardzo uprzejmy. Wskazał miejsce obok siebie i przez cały czas bawił rozmową, interesując się drogą zawodową Cassie i szczegółowo wypytyjąc o ostatni wyjazd do Londynu. Uśmiechał się, lecz jego oczy cały czas były zimne.

Marcel i Freya siedzieli na drugim końcu stołu. Dopiero przy kawie Marcel przeszedł do służbowych tematów. Cassie i Freya porozumiały się wzrokiem, pożegnały się z panami i wyszły.

- Och, jak dobrze! - zawołała Freya, opadając na fotel w pokoju Cassie. - Już miałam dość. Dla ciebie to może było ciekawe, ale ja wolę dobry program w telewizji i przystojnego faceta. O, popatrz! - Jak na zawołanie na ekranie pojawił się niesamowicie przystojny mężczyzna.

- Travis! - zwołała Cassie. Chodziło o przyrodniego brata Marcela. - Od kilku tygodni pokazują ten serial. Jego matka też była żoną Amosa?

- Nie. Poznał ją w Stanach, gdy był tam w interesach.

- Czyli jest następny w kolejce, jeśli nie wypali ślub z Dariusem czy Marcelem?

- On albo Leonid, który mieszka w Rosji i nikt go nie zna. Albo Jackson, przyrodnik. Żadnego bym nie chciała, zwłaszcza Travisa, jest zbyt przystojny. Zresztą Marcel też. Jak dobrze, że mamy herbatę. Amos ciągle zamawia szampana, to go dowartościowuje, a ja marzę o herbacie.

- Nie możesz mu się wywinąć?

- Mogę i tak zrobić, wracam do pracy. Choć na Amosa nie powiem złego słowa. Jest dobry dla mojej mamy, zależy mu, bym została jego synową. Nie ma córki, a chciałby mieć komplet. Kilka miesięcy temu było z nim kiepsko. Mama uprosiła mnie, żebym zamieszkała z nimi, bo Amos potrzebował stałej fachowej opieki. Bał się najgorszego i ściągnął do siebie synów. Chciał jeszcze raz ocenić, który z nich jest do niego najbardziej podobny, i zapisać mu dodatkowe udziały. Tak samo niezłą fortunę dostanie ten z braci, który się ze mną ożeni. Rozumiesz, specjalna nagroda za spełnienie woli tatusia.

- Boże! - wykrzyknęła Cassie. - Jak ty sobie z tym radzisz?

- Jestem wolnym człowiekiem, mam zawód i w każdej chwili mogę odejść. Teraz przyjechałam z nim, bo odstawił szopkę, że niepewnie się czuje. Nie chciałam, żeby mama się zdenerwowała. Ale na tym koniec. Zaczynam żyć własnym życiem.

- Kto wie, czy ci się uda - droczyła się Cassie. - Amos potrafi stawiać na swoim. Jeszcze zostaniesz jego synową.

- W życiu wszystko może się zdarzyć, ale akurat to jest bardzo mało prawdopodobne. Dariusz świata nie widzi poza Harriet, a Marcel odpada na samym starcie.

- Dlaczego?

- Dla niego wszystko jest albo czarne, albo białe. Ma głowę do interesów, ale emocjonalnie się pogubił. Przez jego życie przewinęło się wiele kobiet, lecz z żadną nie związał się naprawdę. Jemu to wystarcza, ale dla mnie to stanowczo za mało. Lubi mnie, ja jego też, i niech tak zostanie. Poza tym pieniądze Amosa go nie skuszą, bo nie są mu potrzebne. Ot, czysta kalkulacja. Czasami mi się wydaje, że jest aż za bardzo podobny do ojca.

- Może wierzy, że wszystko może być proste i jednoznaczne.

- To prawda. Zresztą wielu facetów tak traktuje życie. Nie dostrzegają, że bywa bardzo skomplikowane.

- Tak - cicho powiedziała Cassie. - Właśnie.

- No i niech tak sobie mają. - Freya wzdrygnęła się demonstracyjnie i przeniosła wzrok na ekran.

Pożartowały na temat Trávisa. Śwíetnie się dogadywały. Akurat z Freyą Cassie chętnie by się zaprzyjaźniła.

Nie przeczuwała, że niedługo w zaskakujący sposób tak właśnie się stanie.

Kilka tygodni później, gdy weszła do gabinetu, zobaczyła, że Marcel ma gościa. Przyjechał Darius, najstarszy syn Amosa, doświadczony biznesmen. Jak wielu innych ucierpiał z powodu kryzysu finansowego. Na poczet długów od jednego z wierzycieli dostał wyspę Herringdean leżącą u południowych wybrzeży Anglii.

- Darius zaprosił mnie na ślub - wyjaśnił Marcel.

- W końcu udało mu się namówić Harriet, by za niego wyszła.

- Co poszło łatwo - z uśmiechem powiedział Darius. - Harriet była w zespole ratowników, którzy wyciągnęli mnie z wody, gdy się topiłem. Teraz tylko przy niej czuję się bezpiecznie. - Klepnął brata po plecach. - Musisz przyjechać. Wszyscy będą.

- Macie braci rozsianych po całym świecie - powiedziała Cassie. - Wiem od Frei.

- Tak. Obiecali przyjechać. Marcel, ty też się rusz.

- Wolę nie pokazywać się ojcu na oczy, bo zaczniesz mnie swatać z Freyą.

- Wątpię, żeby przyjechał. Jest na mnie zły, bo pokrzyżowałem mu plany.

- Jak go znam, pojawi się w ostatniej chwili - rzekł Marcel.

- Ty tchórze! - zaśmiał się Darius.

- Przyjadę, ale z panią Henshaw. Muszę mieć obstawę. W razie czego obroni mnie przed ojcem.

- Da pani sobie z tym radę? - zapytał Darius.

- Tak myślę - odparła pogodnie. - Jeśli pan Falcon będzie chciał porozmawiać z Marcelem, musi umówić się z nim za moim pośrednictwem.

- Nieźle! - z aprobatą uśmiechnął się Darius. - Czyli zostawiam cię w dobrych rękach. Ceremonia odbędzie się za tydzień. Wiem, szybkie tempo, ale nie mogę ryzykować, że Harriet się rozmyśli. Poza tym jej ukochany pies, któremu dużo zawdzięczam, jest stary i coraz bardziej słabnie, a chcemy, żeby był na naszym ślubie.

- Nigdy nie byłeś sentymentalny.

- To nie jedyna zmiana. Harriet... nie wiem, jak ją opisać... jest tą jedyną... nie, to znaczy jest, ale to jeszcze za mało powiedziane...

- Strasznie się płaczesz - podkpiwał Marcel.

- Cóż, tak Harriet na mnie działa. Musiałem ją długo przekonywać, że nie ze względu na dzieci chcę się z nią ożenić. Przewartościowałem moje życie. Jest dla mnie najważniejsza i mam w nosie, co inni o mnie myślą. Gdy znajdziesz tę jedyną, nie wypuść jej z rąk, bo będziesz żałował do końca życia. - Spojrzał na Cassie. - Marcel pewnie nigdy swojej nie znajdzie. Unikał poważnych związków i pewnie już mu tak zostanie. Tu są szczegóły dotyczące ślubu i wesela. - Podał jej kartkę. - Do zobaczenia.

Kiedy Darius wyszedł, Marcel oznajmił:

- Musimy na kilka dni wpaść do Londynu, stamtąd pojedziemy na ślub. Nie mogę się doczekać - dokończył znacząco.

Widziała po jego oczach, że oboje pomyśleli o tym samym. Weselna atmosfera sprzyja miłości i wiele może się zdarzyć.

Wyciągnął do niej rękę, lecz w tej samej chwili zadzwoniła komórka Cassie. Odebrała, ale gdy usłyszała:

- Nie rozłączaj się. Wiesz, kto dzwoni - natychmiast się rozłączyła.

- Co się stało? - z niepokojem zapytał Marcel. - Kto to był?

- Jake. Nie mam pojęcia, skąd ma mój numer. Chyba wyszedł z więzienia. Jak śmiał do mnie dzwonić!

- Nie przejmuj się, ze mną nic ci nie grozi. Nie zbliży się do ciebie.

Chciała mu wierzyć, lecz prawda była inna. Jake nigdy z niej nie zrezygnował. Nawet teraz musiał mieć ją na oku, skoro znał jej numer.

Zadzwonił ponownie.

- Wyłączam się - powiedziała ostro.

- Ja umieram.

- Co?

- Zostało mi kilka dni życia. Chcę cię zobaczyć, Cassie. Ostatni raz.

- Nie!

- Nie siedzę w więzieniu. Pozwolili mi umrzeć w szpitalu. Podam ci adres...

- Nie... nie... - szeptała, zaciskając palce w pięść.

- Proszę... błagam...

- Nie. Jake, nie obchodzi mnie, że umierasz. Nie chcę cię widzieć.

- Umiera? - powtórzył Marcel.

- Chce, żebym do niego przyszła.

- Powiedz mu, że to zrobisz.

- Co?!

- Pojadę z tobą. Nie będziesz sama.

- Oszalałeś?

- Nie. Chcę, żebyś to ostatecznie zamknęła. Zobacz się z nim. Przetnij więzy. A potem powiemy mu razem, żeby poszedł w diabły. - Był bardzo zdesperowany, Cassie widziała, jak wiele dla niego to znaczy. - Powiedz mu. Powiedz, że przyjedziesz.

- Marcel...

- Powiedz mu!

- Jake - zaczęła powoli. - Już do ciebie jadę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do Londynu polecili samolotem. Marcel trzymał ją za rękę. Uśmiechnęła się z przymusem, po czym zapatrzyła się w widok za oknem.

Znów spotka się z Jake'em. Znów go zobaczy. Koszmary, które prześladowały ją w snach, staną się rzeczywistością. I nie ma przed tym odwrotu.

- Dlaczego to robimy? - zapytała. - Nie chodzi tylko o mnie, prawda?

- Nie. Muszę go zobaczyć. Możesz to zrozumieć?

- Tak, ale strasznie się boję.

- Niepotrzebnie. Jestem przy tobie.

- Tak, wiem... - Może nie jego się boję, ale ciebie, przemknęło jej przez myśl.

- Zapytałaś go, skąd ma twój numer? Myślisz, że cię obserwował?

- Pewnie tak. Nawet gdy siedział za kratkami, jego ludzie robili, co kazał. Jake miał obsesję na moim punkcie. Uznawał mnie za swoją własność. Byłam na pokaz. Gdy wychodziliśmy na kolację, szczyił się mną, a ja musiałam się uśmiechać, udawać zadowoloną z życia, choć wiedziałam, co mnie czeka po powrocie do domu...

- Nic nie mów! - Opadł na fotel, zamknął oczy. - Przepraszam - powiedział po chwili. - Nie mogę tego słuchać, ale przecież musiałaś z tym żyć... i na pewno mną gardziłaś. Nie mam o to pretensji.

- To już przeszłość - powiedziała miękko. - Nie wracajmy do niej.

- Mów, Cassie. - Przytulił ją do siebie. - Co tylko chcesz. Nie musisz niczego ukrywać.

- Dobrze... Był czas, kiedy miałam nadzieję, że jednak nie całkiem zmarnowałam życie. Zaszłam w ciążę.

- Masz dziecko? - spytał oszołomiony.

- Nie, poroniłam. Jake już wtedy mnie zdradzał. I dobrze, bo im rzadziej go widziałam, tym lepiej. Do tego miałam powód, żeby wystąpić o rozwód. Jake opierał się, lecz daremnie.

- Jako żona musiałaś poznać sporo jego mrocznych sekretów.

- Owszem, lecz ważniejsze było co innego. Przestało mi na czymkolwiek zależeć. Ludzie bali się Jake'a, to dawało mu siłę, ale ja już przed nim nie drżałam. Wyczuł to, dlatego powtarzał, że i tak od niego nie ucieknę. Miał rację. Kiedy doszłam do siebie i znów zaczęłam coś czuć, zaczął prześladować mnie w snach. Nie mogłam się od niego wyzwolić.

- Teraz jest inaczej - rzekł z mocą. - I razem go pokonamy. - Ujął jej twarz. - Tak będzie, obiecuję.

- Chciałabym w to wierzyć, Marcel, bardzo bym chciała, tylko że życie bywa bardziej skomplikowane i przerażające, niż mogłoby się wydawać.

- Kochanie, jesteśmy razem. Zwyciężymy Jake'a, zobaczysz.

Milczała. Dla Marcela wszystko było czarne lub białe. I czasami miał rację. Oby teraz też tak było.

Zatrzymali się w hotelu przy lotnisku i prawie od razu pojechali do szpitala.

Jake leżał w separacie. Strażnik siedzący przy drzwiach ulotnił się dyskretnie.

Marcel puścił jej rękę i pozostał w cieniu. Z trudem poznała Jake'a. Niegdyś był potężny, teraz wyglądał jak szkielet.

- Cassie? - wychrypiął. - To ty? Nie widzę cię dobrze.

- Tak, to ja.

- Podejdź bliżej.

Pochyliła się z ociąganiem. Jake dotknął jej twarzy. Zmusiła się, by zachować spokój. Usiadła na łóżku. Jake uśmiechnął się blado.

- Wciąż jesteś piękna, wciąż moja Cassie.

- Nigdy nie byłam twoja.

- Byłaś moją żoną.

- Nie w sercu. Nigdy.

- Ale jesteś tu - wydyszał. - Wiedziałem, że przyjedziesz. Dla mnie...

- Bo umierasz - weszła mu w słowo. - To zwykły obowiązek. Nie oszukuj się, Jake, między nami nic nie ma i nigdy nie było.

- Zawsze byłaś niedostępna. To mi się w tobie podobało. Byliśmy sobie przeznaczeni.

- Oszukiwałeś sam siebie - rzekła z niesmakiem. - Byłam z tobą, by chronić kogoś, kogo kochałam. To był jedyny powód.

- Nie rozśmieszaj mnie. On był nikim. Teraz pewnie zamiata ulice.

Marcel wystąpił z cienia, stanął obok Cassie.

- Mylisz się - oświadczył. - Tak jak myliłeś się we wszystkim.

- Kim jesteś, do diabła?

- Nie znasz mnie? Jasne, miałeś ludzi od mokrej roboty. Zostawili mnie na ulicy w kałuży krwi. Ale jestem tutaj i zobaczyłem, co chciałem.

- Niezła gadka - wychrypiął, próbując się roześmiać. - Myślisz, że wygrałeś? Gdybyś wtedy wygrał, to tak. Cassie była młoda i piękna, to były jej najlepsze lata. Ale należały do mnie, słyszysz? Do mnie. Dostałem to, czego ty nigdy nie poznasz.

- Nie, to on miał to, czego ty nigdy nie miałeś - powiedziała Cassie. - Miał moją miłość, bezwarunkową i szczerą. Ty tego nie miałeś.

Jake jakby jej nie słuchał, tylko nienawistnym wzrokiem omiatał Marcela.

- Nic nie wygrałeś - Wycedził. - Kiedyś to zrozumiesz. Cassie odeszła dawno temu. Masz tylko pustą skorupę. Myślisz, że przed wami przyszłość? Jak to przyszłość? Bez dzieci? Ona nie może mieć dzieci.

- Może nie z tobą - cicho powiedział Marcel.

Jake odwrócił się do Cassie, zaniósł się kaszlem.

Zacisnął palce na jej ręce. Z litości dotknęła jego dłoni.

- Przyjechałaś do mnie... - powiedział z trudem. - Przyjechałaś...

- Przyjechałam, bo... Nie, nie dlatego, że umierasz. Powiem ci prawdę - mówiła z mocą. - Przyjechałam tu, bo on mnie o to prosił. - Spojrzała na Marcela. - Nic innego by mnie do tego nie zmusiło.

- Kłamiesz... Jestem twoim mężem... Cassie... moja Cassie... moja... - Dyszał coraz szybciej i szybciej. Po chwili opadł na poduszki. - Zawsze będziesz moja - wyszeptał z zamkniętymi oczami.

- Nie. Nigdy! Nigdy nie byłam i nie będę! - Nie słyszał jej krzyku.

Jego półotwarte oczy martwo patrzyły w dal. Wciąż zaciskał palce na ręce Cassie.

- Nie... - szepnęła. - Mój Boże, to już...

Marcel odepchnął od niej rękę Jake'a.

- Chodźmy. - W taksówce tulił ją do siebie. - Jest dobrze. Już po wszystkim.

Jednak tak nie było. Ludzkie losy, złe losy...

Nagle straciła wiarę, że kiedyś jeszcze może być dobrze.

W hotelu Marcel został w jej pokoju i zamówił jedzenie, lecz gdy je przyniesiono, Cassie powiedziała:

- Nie jestem głodna.

- Wiem, ale musisz coś zjeść. Proszę - nalegał stanowczo.

Przestała się opierać. Czowała się wykończona, pokonana. Jake znowu zwyciężył.

Marcel pomógł jej się rozebrać i położyć do łóżka. Potem ułożył się obok i przygarnął czule. Wtuliła się w niego. Wreszcie była bezpieczna.

Obudziła się w nocy, czując pieszczotliwy dotyk jego dłoni. Też tego chciała, zapomnienia i chwili szczęścia.

- Już dobrze - szeptał Marcel. - Jego już nie ma. Teraz jesteśmy tylko my.

- Tak, wiem... - A jednak w głębi duszy czegoś się obawiała, coś ją dręczyło. Coś, czego nie potrafiła określić.

Nad ranem obudziła się z bólem głowy, więc cichutko wstała z łóżka, by wziąć z torby proszek. I poczuła coś pod palcem. Było w małej kieszonce, której nigdy nie używała.

Zaręczynowy pierścionek, który zwróciła Jake'owi. Kiedy siedziała na jego łóżku, wsunął go do torby. Czyli znów postawił na swoim. Nawet zza grobu ma nad nią władzę.

- Cassie? Dobrze się czujesz?

- Tak. Już idę. - Zastanawiała się, czy mu powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Była zbyt poruszona, zbyt wytrącona z równowagi.

Przytuliła się do Marcela, szukając w nim siły i wsparcia. Przeciągnęła dłonią po jego piersi... i znieruchomiała.

- Co się stało? - wyszeptał.

Zapaliła światło i popatrzyła na siną bliznę. Musnęła ją czubkami palców.

- O Boże!

- Wszystko okej - powiedział łagodnie. - Wtedy było ze mną kiepsko, ale się zbierałem. Zamknięta sprawa.

- Wcale nie. - Zaszłochała. - Mogłeś umrzeć.

- Nie umarłem.

Jednak w pewnym sensie umarł, ona też. Rany się zagoiły, lecz blizny pozostaną na zawsze. I oboje o tym wiedzieli.

Ślub Dariusa był coraz bliżej. Od Frei wiedzieli, że Amos nie przyjedzie, co przyjęli z ulgą. Matka Marcela miała razem z nimi polecieć na wyspę. Z Cassie przywitała się uprzejmie, jednak nie była szczególnie rozmowna. Uśmiechała się, gdy Cassie podchwytywała jej uważne spojrzenia, lecz milczała.

Z Marcelem nie wracali do ostatnich zdarzeń. Cassie wolałaby pogrzebać je w niepamięci, więc on milczał, co kładło się na nich ledwie wyczuwalnym, ale jednak cieniem.

Na wyspę dotarli helikopterem. Cassie zapomniała o lęku, oszołomiona cudownymi widokami.

- Jak pięknie! - entuzjasmowała się.

- Tak, mamy czego zazdrościć Dariusowi - przyznał Marcel.

- Jasne, przecież mieszka na rajskiej wyspie.

- Nie tylko tego, Cassie, nie tylko - skomentował tajemniczo.

Jednak nie dokończyli rozmowy, bo helikopter wylądował. Czekali na nich przyszli państwo młodzi. Pogodna i roześmiana Harriet wprost zauroczyła Cassie. Przywitanie było serdeczne.

- Zawiozę was do hotelu, odświeżcie się i wracamy tutaj. Będzie wielka impreza - zapowiedział Darius.

- Kto już się zjawił?

- Jackson i Travis. Travis zatrzymał się u mnie, bo fanki nie dają mu żyć, boi się wyjść na ulicę. Amosa nie będzie.

Zostawili bagaże w hotelu i wrócili do imponującej posiadłości Dariusa. Jackson i Travis czekali na nich przed domem.

Cassie, która dotąd знаła Tralisa tylko z ekranu telewizyjnego, zrozumiała, dlaczego Freya odnosiła się do niego sceptycznie. Po prostu był zbyt czarujący i zbyt przystojny. Natomiast Jackson bardzo przypadł jej do serca. Niby nie ta uroda, niby nie ten wdzięk, lecz instynktownie poczuła się z nim blisko.

Dom tonął w kwiatach. Wielka sala na parterze, miejsce jutrzejszej uroczystości, była zastawiona stołami. Wieczór spędzano więc pod gwiazdami, w świetle lampionów zawieszonych na drzewach.

Rodzina Falconów, choć z tak poplątaną historią, wydała się Cassie nadspodziewanie zżyta. Harry, jak nazywano narzeczoną Dariusa, tryskała szczęściem i radością. Cassie wyczuwała w niej jeszcze coś - wewnętrzne przeświadczenie, że znalazła drugą połowę, bo tak było jej przeznaczone.

- Kiedy poczułaś, że to na pewno on? - zapytała, gdy na moment zostały same.

- To dzięki niemu. - Harry wskazała wielkiego psa leżącego na kanapie. - Phantom konał, a mnie wezwano na akcję. Musiałam jechać na nabrzeże, rozumiesz, ktoś tonie, trzeba go ratować, lecz serce mi pękało, że muszę zostawić Phantoma. Byłam pewna, że to jego ostatnie chwile, ale Darius zajął się nim. Był z Phantomem, zapewniał, jak bardzo go kochamy. Tylko tyle... i aż tyle. I Phantom przetrwał kryzys. Dzięki Dariusowi wciąż mam kochanego zwierzaka. To był punkt zwrotny, znikły moje wątpliwości. Wiedziałam. Gdy spotkasz kogoś, kto tak doskonale cię rozumie, nie wypuszczaj go z rąk.

- No tak - odparła w zadumie Cassie. - Ty go rozumiesz, on rozumie ciebie, więc wszystko się ułoży... - Pogłaskała Phantoma.

Chciałaby mieć takiego psiaka... zamiast dręczących ją duchów.

Z przedpokoju dobiegł podekscytowany gwar.

- To pewnie Leonid - powiedziała Harry. - Darius po niego pojechał. Najbardziej tajemnicza postać w rodzinie Falconów. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

Leonid rzeczywiście roztaczał wokół siebie aurę tajemniczości. Czarnowłosa, o granatowych oczach i wyjątkowo szczupłej twarzy, sprawiał wrażenie kogoś, kogo nie wolno o nic pytać, choć przeżył wiele i zna mnóstwo odpowiedzi.

- Jakby był udęczony - cicho skomentowała Cassie.

- Właśnie... - potwierdziła Harry.

- Skąd przyszedł i dokąd idzie? - w zadumie szepnęła Freya. - Tego nikt nigdy się nie dowie.

- No nie, to już przesada - osadziła ją Harry.

- Nie, ani trochę. - Freya jakby widziała coś, czego one nie dostrzegały.

Harry i Cassie wymieniły znaczące spojrzenia pod tytułem: Zaczyna się robić ciekawie. Może to za niego wyjdzie?

Cassie patrzyła, jak Leonid wita się z rodziną. Dało się wyczuć, że nikogo nie zna dobrze, z nikim nie jest zżyty. Pewnie rzadko wyjeżdżał z Rosji, żył w innym świecie... Miał głęboki głos z wyraźnym akcentem. Niewątpliwie był przystojny, a przy tym trzymał się z wyczuwalnym dystansem, co niektórym kobietom mogło się podobać.

Dotarło do niej, że Laura spogląda na nią z oddali, oczekuje reakcji. Cassie skinęła głową i odeszła pod drzewa, matka Marcela zaraz do niej dołączyła.

- Chciałam się z tobą spotkać.

- Domyślałam się, że Marcel opowiedział pani naszą historię. Musiała mnie pani nienawidzić.

- Kiedyś tak było. Przyjechał do mnie z Londynu, zamknął się w swoim pokoju. Słyszałam, jak szlochał. Opowiedział mi, jak zachowała się jego piękna dziewczyna, gdy leżał umierający. Wtedy cię znienawidziłam. - Przerwała na moment. - Mijały lata, a mój wielkoduszny, dobry syn coraz bardziej upodabniał się do ojca. To tylko potęgowało moją nienawiść. Kilka tygodni temu przyjechał i poskładał podarty list. Był w ogromnym stresie. I niedługo potem zadzwonił do mnie z Paryża. - Uśmiechnęła się leciutko. - Rozmawialiście, wszystko się wyjaśniło, to najważniejsze, co usłyszałam. Mój syn jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy. Liczyłam, że wkrótce mi powie, że znów jesteście razem, ale tak się nie stało. Proszę... błagam, nie złam mu po raz drugi serca.

- Wcale tego nie chcę, ale...

- Ale nie jesteś pewna, czy go kochasz?

- Jak mogę być? Przecież nawet nie wiem, kim on jest! - wyznała wzburzona. - Cóż, oboje się zmieniliśmy - dodała już ciszej. - Owszem, jest za co kochać Marcela, i za to go kocham, ale zarazem ma w sobie coś, co mnie przeraża. Powiedziała pani, że upodabnia się do ojca. Muszę wiedzieć, jak bardzo... wtedy zdecyduję.

- Wszyscy mamy dwoistą naturę. Para to nie dwoje, to czworo ludzi, którzy muszą nauczyć się kochać siebie. Inaczej czeka nas bolesny zawód, cierpienie. Lecz wam się uda - z niezłomną wiarą powiedziała Laura. - Musi się udać. - Wyjęła z torebki czarne pudełeczko, a gdy je otworzyła, Cassie zobaczyła pierścionek z olbrzymim brylantem. - Dostałam go od Amosa, gdy się poznaliśmy. Zachowałam dla Marcela, by dał go dziewczynie, którą pokocha.

- Jest piękny.

- Przymierzysz?

- Nie - powiedziała szybko. - Bardzo jest pani miła, ale dziękuję.

- Muszę mieć nadzieję, że niedługo będzie lepiej. - Laura z westchnieniem schowała pierścionek.

Na zewnątrz wybiegł Jackson.

- Chodźcie! - zawołał. - Nie zgadnicie, kto znowu jest w telewizji!

- Też mi zagadka! - z uśmiechem skomentowała Cassie.

Weszli do środka, gdy program już się kończył, a Travis wygłaszał ostatnie przesłanie:

- Koniecznie to sobie zapamiętajcie. Chwytajcie chwilę, póki trwa. Nie pozwólcie, żeby umknęła wam szansa, bo do końca życia będziecie tego żałować.

Goście wybuchnęli śmiechem, a zmieszany Travis wyciągnął kieliszek, by mu coś nalano.

Rozbawiona Cassie popatrzyła na Marcela.

Był pogrążony w zadumie, jakby coś go zaskoczyło.

Podniósł oczy i uśmiechnął się. Ktoś podszedł do Cassie, proponując jej wino. Wmieszała się w tłum gości.

Dużo później przypomniała sobie dramatyczny apel Trávisa, bo przyniósł fatalne konsekwencje.

Ślub odbył się rano na plaży. Za Harriet szły dzieci Dariusa, córka Frankie i syn Mark, który prowadził Phantoma. Znalazł mu miejsce na froncie, skąd pies miał dobry widok na uroczystość.

Cassie była urzeczona. Piękna ceremonia, wspaniałe otoczenie, miłość bijąca od oblubieńców.

Czy ona i Marcel też znajdą punkt zwrotny i wszystko stanie się jasne? A może to płonne nadzieje?

Zerknęła na niego. Patrzył na nią. Uśmiechnęła się, a on odpowiedział tym samym. Czy jej się wydawało, że kiwnął głową? A jeśli tak, to co to znaczyło?

Marcel odwrócił wzrok, pozostawiając ją w domysłach.

Ile razy wracała pamięcią do tej chwili. Jak inaczej wszystko się mogło potoczyć!

Przyjęcie przebiegało zgodnie z oczekiwaniami. Były śmiechy, wesołe rozmowy, a potem tańce w ogrodzie.

- Cieszysz się, że przyjechaliśmy? - zapytał Marcel, gdy wirowali pod drzewami.

- Za nic bym tego nie przepuściła. Wszystko było super.

- Złapali chwilę, gdy nadeszła. Travis miał rację. Zawsze tak trzeba robić. A teraz patrz! - Wyjął z kieszeni pierścioneł, który wcześniej pokazała jej Laura.

Nim Cassie się zorientowała, już miała go na palcu.

- Marcel...

- Łapmy chwilę - powiedział. - To jest nasza chwila i ja ją chwytam. Uwaga! Słuchajcie! - Gdy popatrzyli w ich stronę, zawołał: - Mam wspaniałe wieści! - Podniósł rękę Cassie, by wszyscy ujrzeli lśniący diament. - Powiedziała „tak” i ślub odbędzie się najszybciej, jak to możliwe.

Rozległy się radosne okrzyki i oklaski. Roześmiana rodzina stłoczyła się wokół nich, serdecznie poklepując po plecach, obejmując Cassie, prosząc o pokazanie pierścionka.

Demonstrowała go automatycznie. Bo w głowie kotłowały się jej tysiące desperackich myśli, a wśród nich ta najważniejsza: Nie!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozradowany tłum falował, Harry gorąco objęła Cassie.

- Teraz kolej na ciebie! Tak się cieszę!

Cassie uśmiechała się z przymusem, choć w środku przeżywała katusze.

Kocha go, więc dlaczego nie umiera ze szczęścia, gdy wyznał jej miłość?

Bo to nie było wyznanie miłości. Oznajmił o ślubie, nie pytając jej o zdanie.

Wszystko się w niej burzyło.

W jego oczach było tyle miłości. Trzeba mieć serce z kamienia, by temu nie ulec.

Trudno, musi mieć serce z kamienia.

- Poprosisz mnie do tańca? - spytała.

Zawirowali w takt muzyki. Teraz było w miarę bezpiecznie. Nikt ich nie usłyszy.

- No, wreszcie wszystko ustaliliśmy. - Marcel uśmiechnął się zabójczo.

- My? Nawet nie czekałeś na moją odpowiedź.

- Nie musiałem. - Nadal się uśmiechał. - Nie przyjmuję odmowy.

Podдай się! - coś w niej krzyczało. Przecież go kochasz. Czy to nie wystarczy?

Jednak bunt miał większą moc.

- Nie musiałem, prawda? - nalegał. - Oboje tego chcemy.

- Skoro masz taką pewność, to czemu nie poczekałeś na odpowiedź?

- No dobrze, zrobmy to po twojemu. - Westchnął zabawnie. - Cassie, najdroższa,

wyjdiesz za mnie?

- Nie. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie wyjdę za ciebie.

- Och, widzę, że każesz mi błagać.

- To tylko pogorszy sprawę, bo dłużej potrwa, nim dotrze do ciebie odmowa.

- Kochanie...

- Mówię serio. Jedźmy stąd.

Droga do miasteczka wiodła wzdłuż brzegu. W połowie Marcel zatrzymał samochód.

- Lepiej porozmawiajmy tutaj.

- Dobrze. - Wysiadła i zapatrzyła się w fale. - Marcel, nie mogę za ciebie wyjść.

- Potrzebowaliśmy czasu, żeby wszystko na nowo poukładać, ale wydawało mi się, że już to mamy za sobą.

- Nie zapytałeś mnie o zdanie. Uznałeś, że nie warto, skoro już podjąłeś decyzję. Co tam moje zdanie, po prostu jakby to mnie nie dotyczyło. Właśnie tego w tobie nie znoszę. Tych telefonów, sprawdzania, gdzie jestem.

- Jak coś jest moje, to na zawsze. Jesteś moja i tak już będzie.

- Mówisz, jakbym była lalką, figurką z drewna. Twoją własnością.

- Przecież należysz do mnie! I nie jesteś lalką! Tylko kobietą! - mówił w emfazie. - Jesteś moja, bo ofiarowałaś mi siebie z nieprzymuszonej woli.

- A potem się wycofałam.

- Nie z własnej woli. Sama mi to powiedziałaś, czyli nic się nie zmieniło.

- Ale nie możesz... nie możemy...

- Ty może nie, ale ja mogę. Zawarliśmy umowę i trzymam cię za słowo.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. To nie jest ten Marcel, którego znała. Może jedynie ten błysk w oku i lekko wygięte kąciaki ust świadczyły, że tylko się z nią droczy, jak tamten Marcel sprzed lat.

- Umowa to umowa - ciągnął. - Tysiąc razy zapewniałaś mnie, że jesteś tylko moja. Od tamtej pory nic się nie zmieniło, więc umowa obowiązuje.

- Czyli tak mnie widzisz... jako biznesowe porozumienie.

- Oczywiście. Ale przekonasz się, że w biznesie działam bardzo bezpośrednio. - Przyciągnął ją do siebie.

- Nie. - Cudownie się poczuła w jego ramionach, ale rozsądek wziął górę. - Nie rozumiesz? - Odepchnęła go. - Nie!

- Czyli nie kochasz mnie?

- Cassie cię kocha - odparła z westchnieniem - ale pani Henshaw nie może być z kimś, kto tak postępuje.

- Czy już nie pora zapomnieć o tej bzdurnej dwoistości?

- Zapomnieć, skoro taka jest prawda? Która zresztą mi odpowiada, w przeciwieństwie do ciebie. Pasuje ci tylko Cassie, więc nie możesz się pogodzić, że ist-

niejemy obie. Swoją drogą, ciekawe, bo też jesteś rozdwojony. Jest Marcel, którego kochałam. I ten drugi, tak bardzo podobny do Amosa, a nawet Jake'a...

- Przestań! - ryknął. - Nie porównuj mnie do niego!

- Dlaczego? Też wydawał mi polecenia, stawiał w sytuacji bez wyjścia i musiałam się godzić na jego zachcianki. - Odpowiedziała jej cisza, słychać było tylko szum fal. - Weź to. - Podała mu pierścionek. - Przed laty pewnie by pasował na mój palec, lecz teraz już nie.

W milczeniu wrócili do hotelu. Laura już tam była.

- Nie spodziewałam się, że wrócicie tak szybko - powiedziała wesoło.

- Jestem zmęczona - odparła Cassie. - Idę się położyć. - Widziała jej pytające spojrzenie, lecz nie czuła się na siłach, by coś wyjaśniać.

Musiała zostać sama, wszystko przemyśleć.

Nazajutrz wrócili do Paryża. Marcel odwiózł Laurę do domu.

- Powiedziałaś jej? - zapytała Cassie, gdy wrócił.

- Nie. Nie czułem się na siłach.

- Powiedz jej, gdy wyjadę. Jutro rano wracam do Londynu.

- Wyjeżdżasz? - przeraził się.

- Gdy widzisz koniec drogi, to nie masz wyboru.

- Czy to naprawdę koniec drogi? Cassie...?

- Przestań - powiedziała błagalnie. - Nie mogę sprawić, żebyś był szczęśliwy. Ty też nie możesz dać mi szczęścia. Nie spełniamy naszych oczekiwań.

- Naprawdę? - wyszeptał. - Nie mogę dać ci szczęścia? - Gdy przecząco pokręciła głową, wyglądał jak rażony ciosem.

Zgarbił się, zwiesił głowę i odwrócił się.

Pod wpływem impulsu chciała go zatrzymać, jednak cofnęła rękę. Musi trzymać się swych postanowień. Dla ich wspólnego dobra.

Przez resztę dnia pracowała w swoim pokoju, sporządzając zestawienia i notatki dla Marcela. W nocy nie mogła zmrużyć oka. Czekwała, że Marcel przyjdzie.

Nie pojawił się. Pogodził się z jej decyzją.

Rano też się go nie doczekała. Pozwoli jej odjechać bez słowa? Powinni się przecież rozmówić. Poszła do jego apartamentu.

Po drodze spotkała Verę. Marcel dał jej wolny dzień. W apartamencie było pusto. Zamknęła oczy. Nie mogła pozbierać myśli. I opanować emocji.

Zajrzała do sypialni. Już poznała uroki wielkiego łóża. Marcela nie było. Spostrzegła drzwi, których wcześniej nie zauważyła. Nacisnęła klamkę.

Oniemiała.

To była sypialnia, choć słowo „cela” lepiej by pasowało. Pod ścianą stało wąskie, niedbale zasłane łóżko. Żadnej szafy, jedynie komódka przy łóżku.

Niemożliwe, żeby Marcel tu spał. Ale poza nim nikt nie wchodził w grę, czyli... Intuicja podpowiedziała jej prawdę. Wielka luksusowa sypialnia była tylko na pokaz. Sypialnia playboya. Tam przyprowadzał panienki, tam je gościł i czarował. A potem chował się w ponurej kryjówce, bo tylko tu czuł się u siebie. Tu mógł być sobą.

Kochający życie, otwarty młodzieniec o gorącym sercu przeobraził się w człowieka, który dobrze się czuje tylko w swej norze. Ta myśl była nie do przełknięcia.

On też niedawno wspominał, że była otwarta na świat, i taką ją kochał.

Oboje się zmienili, oboje zostali poturbowani przez życie. Dopiero teraz dotarło do niej, jak głęboko Marcel został skrzywdzony.

- Teraz już wiesz.

Odwróciła się. Marcel stał w drzwiach, na jego twarzy malowało się znużenie. I rezygnacja.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wyszeptała, wskazując ponure wnętrze.

- A jak myślisz? Żebyś dowiedziała się, jaki jestem nieszczęśliwy i zbolący?

Spontanicznie zarzuciła mu ręce na szyję. Myślała, że Marcel otoczy ją ramionami, lecz choć wyciągnął ręce, zaraz je opuścił. Dopiero po chwili przygarnął ją do siebie i wtulił twarz w jej kark.

Cassie pieszczotliwie pogładziła go po włosach. Stali tak długą chwilę.

- Zwykle te drzwi są zamknięte - powiedział. - Nikt nie wie. I nikt się nie dowie.

- Nikt?

- Nikt. To ja, taki jestem naprawdę, odkąd...

- Och, Marcel... - Poglądziła go po twarzy. - Jak długo masz ten pokój?

- Od pięciu lat, jak tylko kupiłem hotel. Tamta sypialnia jest oficjalna, a ta prawdziwa.

- Nigdy mnie tu nie przyprowadziłeś.

- Czekałem na odpowiednią chwilę...

- Właśnie nadeszła. - Pociągnęła go za sobą.

Wąskie łóżko nie dawało wielu możliwości. Leżeli spleceni w uścisku, bliscy sobie jak jeszcze nigdy dotąd, z sercami przepelnionymi radością.

Burza ucichła i znów powrócił spokój.

Cassie bezgłośnie dziękowała losowi, że zdążyli, że odnaleźli drogę, gdy jeszcze był czas. Popatrzyła na Marcela z miłością, czekając na słowa, od których zacznie się ich wspólne życie.

- Żegnaj - powiedział.

Nieco później odwiózł ją na lotnisko.

- Tam jest twoje okienko do odprawy. Masz sporo czasu. To ja już idę. - Gdy spojrzała na niego z bólem, dodał: - Nie martw się, Cassie. Już więcej nie będę cię dręczyć. Cieszę się, że mieliśmy ten ranek. Rozstajemy się w dobrych stosunkach, inaczej niż wtedy. - Przez chwilę przypatrywał się jej przenikliwie. - W końcu się spotkaliśmy i dowiedzieliśmy się... tego, co istotne. I to na zawsze z nami zostanie.

- Marcel...

- Wszystko dobrze, jesteś wolna. Nikt nie będzie cię sprawdzał, obserwował, zmuszał do czegokolwiek. Miałaś rację. Żegnaj, ukochana. Bądź szczęśliwa.

- Ty też - powiedziała cicho.

- Bez ciebie? Jedynym moim pocieszeniem będzie świadomość, że uwolniłem cię od siebie. Boże broń, byś postrzegала mnie jak tyrana, który zmusza cię do spełniania swoich zachcianek. Bo taki byłem, co? Nie mogłem się z tym pogodzić, ale to prawda. Całe szczęście, że uzmysłowiłaś mi to w porę.

- Dlaczego tak musi być? - wyszeptała.

- Nie wiem, ale gdybyśmy zostali razem, z czasem byś mnie znienawidziła, a ja bym tego nie przeżył. Żegnaj, najdroższa. Znajdź mężczyznę, który jest ciębie godny, i bądź z nim szczęśliwa.

- Możesz mi tego życzyć? - zdumiała się.

- Wszystkiego, co jest dla ciebie dobre.

- A ty... O Boże, oboje wyrządziliśmy sobie tyle krzywd. Gdyby tylko...

- Wiem, kochanie... Ale nie mogę ryzykować, że jeszcze bardziej cię zranię. - Pocałował ją w policzek. - Żegnaj, Cassie.

Odprawiała go wzrokiem. Gdy ostatnio tu byli, Marcel desperacko próbował ją zatrzymać. Teraz nawet się nie odwrócił.

Przez cały lot była jak otepiała. Dopiero w domu, gdy zamknęła drzwi i zapatrzyła się w ciemność, zaczęło docierać do niej to, co się stało. Marcel dał jej wolność, bo tylko w ten sposób mógł okazać się lepszym, niż go oceniała. Udowodnił, jak ogromnym darzy ją uczuciem.

To był ten punkt zwrotny, na który w skrytości ducha czekała.

Prawda oszałamiała. W życiu by nie przypuściła, że Marcel zachowa się tak wielkodusznie. Teraz już mogła go kochać całym sercem. Ponad wszelką wątpliwość wiedziała, że to właśnie on, ten jeden jedyny.

I straciła go. Wszystko skończone. Na zawsze.

Może tak będzie dla niego lepiej. Gdyby zostali razem, może by go unieszczęśliwiła. Nie zasługiwał na to. Zasługiwał na kogoś lepszego niż ona.

Nieoczekiwanie poczuła dumę i coś w rodzaju szczęścia. Marcel kochał ją tak gorąco, że w imię tej miłości poświęcił samego siebie. Żaden mężczyzna nie może się z nim równać. Być przez niego kochaną to zaszczyt.

Już nigdy go nie zobaczy, ale do końca życia będzie wiedziała, że zdobyła serce najlepszego, najdzielniejszego, najmocniejszego i najbardziej honorowego mężczyzny pod słońcem. To pomoże jej przetrwać długie, smutne lata.

W Londynie szybko dopadła ją proza życia. Była bez pracy. Marcel zaskoczył ją, bo w dzień wyjazdu przelał na konto Cassie trzymiesięczne pobory, jednak pieniądze szybko się skończą, tym bardziej że szwagier dopominał się o wsparcie.

Praca w biznesie przestała ją pociągać. Potrzebowała czegoś, co pomogłoby wypełnić wewnętrzną pustkę.

Któregoś wieczoru, kiedy spacerowała nad Tamizą, ktoś zaczął robić jej zdjęcia. Obruszyła się, lecz szybko poznała, z kim ma do czynienia. Z asystentem fotografa, który przed laty pomógł jej zrobić karierę.

Teraz już się usamodzielniał zawodowo. Zaczęli rozmawiać, namówił Cassie na sesję i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Niegdyś apetycznie zaokrąglona, obecnie, zgodnie z duchem czasów, szczupła i chłopcica, piękna Cassie znów zagościła na okładkach.

Kilka tygodni później do jej drzwi zapukała Freya. Rozgadały się przy herbacie i ciastkach. Freya zamierzała poszukać pracy w Londynie. Miała już dość Amosa, który uporczywie chciał wydać ją za Marcela.

- Nic do niego nie trafia. Wpłacił na moje konto ogromną sumę, o nic mnie nie pytając. Wie, że Marcel potrzebuje pieniędzy, i liczy, że to go skusi.

- Potrzebuje pieniędzy? Przecież wszystko było ustalone. Tak sądziłam.

- Amos też, ale Marcel kazał mu się wycofać. Nie chciał przyduszać tego młodego człowieka.

- Naprawdę?

- Ostro się posprzeczali, w końcu Marcel postawił na swoim. Zdobył pieniądze, sprzedając udziały w La Couronne.

- Przecież to jego ukochane dziecko!

- Wiem, ale tak postanowił. Zapłacił za londyński hotel, ale jeszcze się nie wygrzebał. Dlatego Amos liczy, że skoro już jestem bogata, to Marcel padnie przede mną na kolana.

- Też tak myślisz? - zapytała, nalewając herbatę.

- Ostrzegłam go, że mógłby tego nie przeżyć, bo zrzucę go ze schodów. Poza tym mój przyszywany braciszek sennie z tęsknoty za tobą.

- Nonsens. - A jednak serce zabiło jej szybciej.

- Ależ skąd. Dzwoniłam do niego. Opowiedział mi o was. Zachował się jak skończony idiota, oświadczając się w taki sposób. Powiedziałam mu, co o nim myślę. Jednak idealnie do siebie pasujecie, więc szkoda by było, żeby z powodu kretyńskiego wyskoku Marcela nic z tego nie wyszło.

- Już za późno. - Cassie bezradnie pokręciła głową.

- Chcesz powiedzieć, że już go nie kochasz?

- Oczywiście, że go kocham. I zawsze będę, ale...

- Chcesz o tym pogadać?

- A wiesz, że tak. - Nie tylko lubiła Freyę, ufała jej. - Po powrocie do Londynu było mi smutno, ale trzymałam się, bo byłam dumna z Marcela. Zostawił mnie dla mojego dobra. Wciąż jestem z niego dumna, ale...

- Ale przed tobą jeszcze kawał życia.

- Chciałabym odzyskać Marcela, ale nie mogę go do tego nakłaniać...

- Jasne, bo gdyby się skusił, przestałabyś być z niego dumna.

- Właśnie. Wszystko rozumiesz. Szkoda, że nie jesteśmy siostrami.

- Jeśli dobrze to rozegramy, to niedługo będziemy. Wiesz, generalna zmiana taktyki. Marcelem trzeba zdrowo potrząsnąć, innymi słowy, złapać go za frak i nie dać mu wyboru. Siostrzyczko, posłuchaj, co zrobimy...

Kilka tygodni później Vera przyglądała się, jak szef wpada do biura. Znowu był spięty i zdenerwowany. Miała jednak podstawy sądzić, że to wkrótce się zmieni.

- Ma pan gościa. To ktoś, kto kupił udziały w La Couronne i pilnie chce się z panem widzieć. - Wskazała głową gabinet.

W progu zatrzymał się jak wryty.

- Cześć - powiedziała Cassie.

Marcel zaczerpnął powietrza, próbując się uspokoić.

- Vera powiedziała... udziałowiec...

- Tak, kupiłam udziały w La Couronne i postanowiłam ci o tym powiedzieć.

- Ale... to musiało kosztować fortunę. Skąd...?

- Kapitał pochodzi od Frei. To oczywiście pożyczka, którą spłacę z zysków hotelu.

- Nie mogła pożyczyć ci aż tyle bo niby skąd?

- Oczywiście, ale miałam jeszcze inne źródło. Kiedy byliśmy u Jake'a, podstępnie wrzucił do mojej torebki pierścionek zaręczynowy. Sprzedałam go za prawie pół miliona, które zainwestowałam... w ciebie. Oczywiście nie chcę nic od Jake'a, więc jak tylko będę mogła, oddam te pieniądze na cele charytatywne. Ale na razie okazały się potrzebne. Nam potrzebne. Bo widzisz, Jake nam się przysłużył.

- Oddając mi ciebie - wyszeptał.

- Tak. Rozdzielił nas, a teraz dzięki niemu znów będziemy razem.

- To by go dobiło - z ulgą rzekł Marcel.

- Też czuję swoistą satysfakcję. - Przerwała na moment. - Musisz wiedzieć, że mam jeszcze inne źródło dochodów. - Otworzyła kolorowe pismo. Na rozkładówce Cassie w skąnym bikini uwodzicielsko uśmiechała się do obiektywu. - Przyjrzyj się - zamruczała.

- Nie muszę. Mam swój egzemplarz. To niesamowite. Myślałem, że pani Henshaw wzięła górę.

- Tak samo myślą ci, z którymi współpracuję, póki się nie zorientują, w czym rzecz. Cassie pozuje, ale to pani Henshaw podpisuje jej kontrakty. Bardzo się zaprzyjaźniły.

- Miło wiedzieć - rzekł ostrożnie. - Dzięki temu życie może być... łatwiejsze.

- I jest. Cassie będzie pozować jeszcze przez jakiś czas, żeby pospłacać długi pani Henshaw, czyli muszą żyć zgodnie. Jeśli bierzesz, to obie. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Mam nadzieję, że ci to odpowiada.

- Kiedyś powiedziałaś, że mam odejść z twojego życia - niemal wyszeptał, mówił z trudem.

- To było kiedyś, a teraz jest teraz.

- Cassie, kochana, nie rób tego, jeśli nie jesteś do końca pewna - powiedział ze śmiertelną powagą. - Nie przeżyję, jeśli jeszcze raz cię stracę. Muszę mieć pewność, że

ty masz pewność. Raz zostaliśmy rozdzieleni, potem odszedłem od ciebie, bo to było najlepsze rozwiązanie. Liczyłem, że taka decyzja uratuje naszą miłość, choć to tylko miłość na odległość.

- Wiem. Podziwiałam cię, choć serce miałam złamane.

- Ale sama powiedziałaś, że to było kiedyś, a teraz jest teraz. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Jeszcze jedno rozstanie mnie zabije - powiedział cicho.

- Nie będzie więcej rozstań, przysięgam uroczyście - oznajmiła. - Jestem tak samo pewna jak ty, choć inaczej, niż myślisz. Wiele się zmieniło. Może pod twoim wpływem. Zmieniłam się, już nie lękam się, że możesz mieć nade mną kontrolę. Stałam się silna. Marcelu Falconie, przejmuję dowództwo. Odtąd będzie po mojemu. - Dotknęła ustami jego ust. - Jasne?

- Jasne.

- To dobrze, kochany... - Czytała w jego myślach i pragnieniach.

- Wiesz, że będziemy walczyć?

- Oczywiście. Będziemy toczyć straszliwe boje, wyzywać się od najgorszych, wypominać sobie to, co kiedyś się stało. Czasami będziemy nawet się nienawidzić. Ale po równo.

- Tak? To powiem ci, że pokonanie Cassie jest przyjemnością, ale pokonanie pani Henshaw... nie mogę się tego doczekać.

Uśmiechnęła się, wskazała drzwi małej sypialni.

- Więc do boju. Tchórzysz? Nie wiem, na co czekasz.

Chwycił ją na rękę i ruszył do drzwi.

- Niby kto czeka?

